MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XII. Nr. 14. (13 skonfiskowany) WARSZAWA, 20 MARCA 1932 R. CENA NUMERU 80 GR.

ZAŁAMANIA W GDAŃSKU

CZY przybycie do Warszawy dnia 14-go marca b. r. Wysokiego Komisarza Ligi Narodów w Gdańsku, hr. Gravina'y, po podpisaniu przez p. Prezydenta Rzplitej dnia 25-go lutego b. r. zwolnienie p. Henryka Strasburgera ze stanowiska Generalnego Komisarza Rzplitej w Gdańsku, które zajmował przez osiem lat, a mianowania p. Kazimierza Papée'go, ostatnio jeneralnego konsula Rzplitej w Królewcu, będzie miało następstwa w ułożeniu się dalszem stosunków Polski z Wolnem Miastem?

Dlaczego stosunki te układają się niepomyślnie, to może uzmysłowiło się najlepiej w chwili gdy p. Sahm, który był od r. 1920 Prezydentem Senatu w. m. Gdańska, został od początku r. 1930 Prezydentem m. Berlina. Świadczy to o spaczeniu od początku stanowiska Gdańska. Wedle Traktatu Wersalskiego z 28-go czerwca 1919, miał być Gdańsk wieloma węzłami (art. 104) związany z Polską, a żadnym z Niemcami. Łatwość przejścia p. Sahm'a z Gdańska, gdzie był on przybyszem z Rzeszy, do Berlina wskazuje, jakie węzły istniały w rzeczywistości. Od samego początku ręka Berlina gospodarowała w Gdańsku jak u siebie, przeszkadzając starannie wżyciu się Wolnego Miasta w nowy stan rzeczy prawny tj. daleko idący związek z Polską pod opiekę Ligi Narodów.

Wobec ustawicznego stawania Gdańska okoniem, po zawarciu konwencji polsko - gdańskiej w Paryżu z 9 XI 1920 r. i układu wykonawczego w Warszawie z 24 X 1921 r., w ciągu lat 1922 i 1923, wniósł Rząd Polski 29-go czerwca 1923 do Rady Ligi obszerną notę ministra spraw zagranicznych p. M. Seydy, bronioną w Genewie przez jeneralnego komisarza Rzplitej w Gdańsku p. Plucińskiego, która spowodowała rokowania i rozstrzygnięcia z mocnem przytarciem rogów W. Miastu, uważającemu się za osobne państwo i twierdzącemu, że konwencja i układ wyczerpały i uchyliły art. 104 Traktatu Wersalskiego. Po tem pierwszem okiełznaniu Gdańsk nieco przycichł. Gdy w początku r. 1925 wywołał Senat Gdański nowy spór o polskie skrzynki pocztowe, a pogłębił go znowu twierdzeniem że jest on wolnem państwem, uzyskane przez ministra Skrzyńskiego i jeneralnego komisarza Strasburgera postanowienia Rady Ligi z 13-go marca 1925 położyły kres tym wichrzeniom, tak iż nastało uspokojenie.

W okresie pomajowym, Gdańsk, doszedłszy widocznie do przekonania, że stanowisko Polski wskutek rozwoju wewnętrznego nie wzmacnia się zagranicą, zaczął po pewnym czasie, w szczególności od r. 1929, znowuż szukać zwady na każdym kroku.

Jeszcze w czerwcu i sierpniu 1929, na podstawie uspokojenia stosunków od r. 1925, zgodził się Rząd Polski lekkomyślnie na osobne podpisanie przez Gdańsk paktu Kellogg'a o potępieniu wojny, tak jakby był on odrębnem państwem. Nie brakło ostrzeżenia, że Wolnemu Miastu odrastają rogi, bo 27-go i 28-go czerwca 1929 dziesięciolecie Traktatu Wersalskiego odbiło się w Gdańsku bardzo burzliwemi odgłosami. Gdy Wolne Miasto, odpalone w Radzie Ligi w czerwcu w swych roszczeniach do stanowiska państwa, najwidoczniej usiłowało przemycić je znowu przez podpisanie paktu Kellogg'a, nie było zaiste powodu do ułatwiania mu tej przejrzystej gry.

A tymczasem stosunki widocznie się zaostrzały. Dnia 20-go października 1929 r. odbyło się w Gdańsku zgromadzenie tamtejszej ludności polskiej, które w uchwałach stwierdziło dokładnie i dowodnie ucisk żywiołu polskiego w Wolnem Mieście. Jednym z objawów było upośledzenie na gruncie religijnym, skoro przy istnieniu 40 tys. Polaków w Gdańsku wobec 390 tys. całego zaludnienia, z pośród 36 parafij katolickich nie było ani jednej polskiej. Gdy w Komisji Spr. Zagr. 20-go lutego 1930 wskazywałem ten nawrót zaostrzenia w Gdańsku, nie miano jeszcze ucha dla tych pomruków nowego zaburzenia.

Rok 1930-ty rozwiał wszelkie złudzenia. Dnia 9-go maja 1930 wniósł Gdańsk do Wysokiego Komisarza wniosek, w którym wypowiedział twierdzenia, że Polska ma obowiązek korzystania tylko z portu w Gdańsku, że w związku z tem winna rozwijać port w Gdańsku i drogi doń lądowe i rzecz-

ne, że nie ma prawa zakładania sobie innego portu w Gdyni. A dnia 29-go września 1930 zmuszony był Rząd Polski złożyć Wysokiemu Komisarzowi przedstawienie szczegółowe, na ośmiu różnych polach, ucisku ludności polskiej w Gdańsku. Rok 1930-ty można nazwać rokiem nowego wypowiedzenia wojny Polsce przez Gdańsk.

W r. 1931 dobiegł do końca, tj. aż do orzeczenia Międzynarodowego Trybunału w Hadze, spór o port *d'attache* dla polskich statków wojennych w Gdańsku, a rozstrzygnięcie nie było dla nas pomyślne. Spór o prawa mniejszości polskiej w Gdańsku, przeszedłszy przez Radę Ligi Narodów w r. 1931, znalazł w lutym 1932 w Trybunale Haskim załatwienie dla nas niekorzystne, bo uznające, że nie art. 104 Traktatu Wersalskiego z r. 1919 obowiązuje, lecz mająca na nim się opierać konwencja paryska z r. 1920. W sprawie korzystania przez Polskę z portu w Gdańsku wydał Wysoki Komisarz Ligi dnia 26-go października 1931 orzeczenie, niezbyt jasno dla nas się przedstawiające, od którego obie strony odwołały się do Rady Ligi. Jako nowy zatarg wpłynął w skardze Polski do Wysokiego Komisarza z dnia 16-go października 1931 zarzut naruszenia przez Gdańsk postanowień celnych i wyrządzenia Polsce szkód w wysokości około 50 miljonów złotych, na co Gdańsk odpowiedział w lutym r. b. bardzo rażącemi wywodami o stosunkach celnych z Polską.

W parze z tym zatargiem szło rozpanoszenie się w Gdańsku odwetowców z pod znaku Hitlera. Rada Ligi, dnia 22-go maja 1931, potępiła te wichrzenia, a dnia 19-go września 1931 ponownie to uczyniła. A tymczasem wpływy Hitlera rosną w Gdańsku stale i przejawiają się zuchwale.

W ciągu r. 1931 Wysoki Komisarz Ligi hr. Gravina, w sprawozdaniach do Rady Ligi stwierdził, że stosunki polsko-gdańskie przedstawiają się bardzo niepomyślnie. Nowy Prezydent Senatu p. Ziehm, powiada Wysoki Komisarz, nietylko wiosną 1931 odwiedził Genewę, ale i o Berlin zahaczył w sposób urzędowy, w Polsce zaś się nie pojawił dla nawiązania stosunków. W kwietniu 1931 Jeneralny Komisarz Rzplitej p. Strasburger, nie mogąc uzyskać zadośćuczynienia za napady mordercze na Polaków, po raz pierwszy poprosił Rząd o zwolnienie, którego mu wówczas nie udzielono. Ale, zaznacza Wysoki Komisarz w sprawozdaniu z 15-go sierpnia 1931, stosunki między p. Ziehm'em i p. Strasburgerem nie znalazły, jak się wyraża, dotychczas zadowalającego wyrazu.

Zaognienie wzrasta. Dnia 28-go lutego b. r. ujawniono, z podaniem *facsimile*'ów, dokumenty, które rzucają bardzo złe światła na działania Gdańska. Pierwszy z nich, z d. 9.I.1930 dowodzi, że Senat W. Miasta sam dopuszcza się przemytu, w tym wypadku w sprawie sprowadzenia z Berlina oprawianych książek w sposób taki, by uniknąć oclenia. Drugi jest tajnym rozkazem kierownictwa wojskowego związku niemieckiego „*Wehrwolf*" w sprawie urządzenia w Gdańsku od 8-go do 21-go czerwca 1931 obozu ćwiczebnego przy współdziałaniu władz gdańskich. Trzeci z 8.XI.1928 jest tajnem pismem pruskiego ministra przemysłu i handlu do starostów na rzecz udogodnień dla kupców gdańskich, wprowadzanych na podstawie jakichś umów pokątnych między władzami gdańskiemi i pruskiemi, bo jawne musiałyby iść przez Polskę, jako prowadzącą stosunki Gdańska z zagranicą. Są to wyrywki z oczywiście dużo obszerniejszej całości nieujawnionej.

W tym to stanie rzeczy p. Strasburger uznał ponownie w początku r. b., że nie może pozostać w Gdańsku, a Rząd tym razem nie mógł nie przyjąć jego prośby o zwolnienie.

Równocześnie zapadają nawet w Trybunale Haskim, coprawda nikłą i nieco przypadkową większością, orzeczenia tak dla nas niepomyślne, jak nieliczenie się z art. 104-tym Traktatu Wersalskiego w sprawie uprawnień ludności polskiej w Gdańsku.

Jest to obraz nieoczekiwanie niepomyślny i trzeba dołożyć wszelkich starań, by on się nie utrwalił, zacierając wielkie prawa, jakie Polska uzyskała w Gdańsku z mocy Traktatu Wersalskiego, obecnie trwonione bardzo nieoględnie.

STANISŁAW STROŃSKI

MASZYNA I CZŁOWIEK

W OSTATNICH kilku latach, latach bezrobocia, nadprodukcji i kryzysu finansowego, coraz częściej oczy ludzi myślących zwracają się na kwestję maszyn, szukając w niej źródeł trapiącej nas klęski. I znowu rozpowszechnia się stare przekonanie, że maszyny są przyczyną bezrobocia, walk klasowych, upadku kultury duchowej. Pojawiają się na ten temat artykuły w prasie, nawet z za oceanu dochodzą nas słuchy, że Ameryka dąży do złagodzenia bezrobocia przez ograniczenie zbyt zracjonalizowanej produkcji maszynowej.

Roman Dmowski, przepowiadając smutny upadek państw wysoko uprzemysłowionych, rzuca wiele mówiące zdanie: „Im maszyna mądrzejsza, tem człowiek głupszy..."[1]) Pojawiają się projekty stworzenia przy Lidze Narodów specjalnej komisji, któraby badała fachowo, przy uwzględnieniu potrzeb zdrowej kultury, użyteczność lub szkodliwość nowych wynalazków i pozwalała, względnie zabraniała ich eksplatowania. Dziwny ten projekt pokazuje nam, do jak wielkiej wagi urasta dręcząca nas sprawa maszyn. Jest ona bardziej skomplikowana, niżby się na pierwszy rzut oka wydawało. Pokolenia się nad nią głowiły i głowić się będą... Nie przedstawiając więc wszechstronnego, całkowitego jej doświetlenia, ograniczę się do kilku uwag na ten temat

Człowiek z natury ma skłonność do krańcowego ujmowania rzeczy. Zbacza w rozumowaniach na prawo i lewo, nie trzymając się pośredniego często między krańcowościami gościńca prawdy. Wrogowie maszyn widzą w nich źródło bezrobocia, rozumując bardzo prosto. Maszyna zastępuje człowieka w pracy. Wytwarza szybciej, łatwiej, więcej, wymaga mniejszej obsługi. To, co zrobiłoby rękoma dwudziestu robotników, zrobi jeden maszyną. Stąd dziewiętnastu pozostaje bez pracy. Stąd nadprodukcja, nędza, walka klas: posiadającej i nieposiadającej. Dalej, możność uzyskiwania dużych zarobków przez właścicieli maszyn stwarza wśród nich psychozę materjalizmu. Racjonalizacja pracy, czyli ekonomiczne rozdzielenie jej na bezduszne ułamki, które robotnicy wykonywają, jak automaty,

[1]) ob. „Świat powojenny i Polska".

bezmyślnie — obniża ich poziom duchowy, czyli również prowadzi do materjalizmu. Wogóle rozwój kultury materjalnej, którego wyrazem są wszystkie nowoczesne wynalazki, pomnażające wygody życiowe, psuje człowieka, odbierając mu tężyznę i moc wewnętrzną. Tak mówią przeciwnicy maszyn, a marzenia ich zwracają się do słonecznego średniowiecza, z całym jego spokojnym ustrojem cechowym, z cichemi grodami, nie wędzonemi czarnym dymem kominów fabrycznych. Średniowiecza, które nie znało międzynarodowych strajków robotniczych i komunizmu. Niezaprzecznie w poglądzie tym jest wiele bardzo słuszności.

Prawdą jest, że wiek XIX, wiek „pary i elektryczności" wiek nagłego, niebywałego dotąd rozwoju techniki, otworzył jednocześnie erę trudności socjalnych, ciężkich walk klasowych, ekonomicznego bezrobocia i nędzy pracowników fizycznych. Lecz czy przyczyną tych klęsk były same wynalazki? Czy raczej powszechne obniżenie poziomu życia religijnego, zanik zasad etycznych, z którym szedł w parze wyzysk i nieuczciwość warstw, stwarzających nowe warunki? Już dwadzieścia lat temu Karol Gide, słynny ekonomista francuski alarmował Europę o grożącem jej niebezpieczeństwie ze strony tych wielkich przemian. Sceptycznie zapatrywał się na fakt wprowadzenia maszyn, uważając, że przyniósł on tylko złudzenia ludzkości, wierzącej w poprawę bytu na tej drodze. I nietylko z punktu widzenia moralnego, lecz i ekonomicznego produkcję maszynową zaliczał do niekorzystnych. Między innemi podkreślał, że produkcja ograniczona będzie zawsze konsumcją, a w najważniejszych dziedzinach zapotrzebowań ludzkich (zboże i domy) maszyny nikłe znajdą zastosowanie[2]). Przewidywał też bezrobocia.

Z drugiej strony wszakże stwierdzić można, iż gdy np. w angielskich przędzalniach w r. 1835 zatrudnionych było 120.500 robotników, to po wprowadzeniu maszyn do tej dziedziny przemysłu, maszyn, demolowanych początkowo przez robotników, liczba tych ostatnich znacznie wzrastała, tak, iż w r. 1914 dochodziła do 740.000. Taniość bowiem produkcji wzmogła konsumcję, co znowu rozszerzyło produkcję. Nie można również zapominać, że maszyny też trzeba produkować i gdy nawet w zmechanizowanej fabryce zmniejszy się ilość rąk roboczych, to znaczna liczba znajdzie pracę w wytwórni tych, ciągle się zużywających maszyn. Tak samo różne wynalazki, odbierają ludziom pracę w jednej dziedzinie, dają ją im w innej. A więc np. woźnice, pocztyljoni i stangreci zamienili się w szoferów, konduktorów, maszynistów, w większej nawet ilości.

Pozatem wiele wynalazków otwiera poprostu nieistniejące przedtem warsztaty pracy. Weźmy choćby maszynę drukarską. A jak wielkie znaczenie kulturalne ma właśnie ten wynalazek! Czy bez książki taniej, drukowanej, moglibyśmy sobie wyobrazić obecne życie z jego masowem zapotrzebowaniem oświatowem? I tu dotykamy najważniejszej sprawy w naszych rozważaniach, kwestji konieczności postępu technicznego. Musimy wyraźnie podkreślić prawdę, że ludzkość w nowych warunkach życia wymaga do samego istnienia swego przeważnej liczby ulepszeń mechanicznych.

Przedewszystkiem ciągły przyrost ludności, wzrost organizacyj państwowych, wzmożone zapotrzebowanie środków do życia przy tym samym obszarze źródeł życiodajnych, wymaga ciągłego ulepszania narzędzi eksploatujących i komunikacyjnych. Bez chemji biologicznej, bez samochodu, kolei, telegrafu, elektryczności, jedność ogromnych organizmów państwowych, codzienne życie ich obywateli, są nie do pomyślenia. Tu wyliczyć możnaby nieskończony szereg maszyn, wynalazków z różnych dziedzin życia społecznego, zazębiających się z naturalną koniecznością o siebie. Maszyny więc nie wcisnęły się brutalnie, ni z tego ni z owego do życia, aby w nie wprowadzić niepotrzebny zamęt. Elementarne potrzeby życiowe, wobec przyrostu ludności i jej rozwoju historycznego, wywołały je z nicości. Wykluły się one na organizmie ludzkim, jak zęby mądrości u dorastającego człowieka

Zresztą, na jakiej podstawie opiera się potępianie maszyn? Już w „Genezis" Bóg zwraca się do młodej ludzkości ze słowem: „Napełniajcie ziemię i czyńcie ją sobie poddaną". Mowa tu naturalnie o ujarzmieniu wszelkich sił, tkwiących w przyrodzie. Tęsknota do wynalazków maszynowych znajduje swój wyraz w prastarej mitologji greckiej. Opowiada ona, że kulawy Hefajstos sporządził sobie ze złota dwie osoby, chodzące i mówiące, na których się wspierał chodząc. Człowiek nigdy nie wywinie się pracy fizycznej, choćby nie wiem jak się maszynami obstawił. Ale naturalne i zupełnie usprawiedliwione jest jego dążenie, aby tę pracę uczynić szybką i łatwą, dającą mu więcej czasu na zajęcia umysłowe. Któż może zabronić biednej robotnicy używania maszyny do szycia, która zostawia jej czas na zajęcie się domem, odpoczynek i daje spory zarobek? Któż potępi wynalazców, chroniących nowemi urządzeniami górników od kalectwa, wyrywających ich z ciemności kopalnianej na światło? Któż może wogóle potępić wyzyskiwanie martwych sił przyrody, tworzenie dzieł, noszących na sobie piętno rozumnego ducha ludzkiego? Czyż nie jest to najbardziej zgodne z naturą człowieka, nie odpowiada jego godziwym, celowym dążeniom?

Maszyny, martwe dzieła mózgu ludzkiego, nie mogą być przyczyną jego niedoli, gdyż człowiek zawsze nad niemi panuje. Każdej chwili może je zniszczyć, jeśli mu do istnienia przeszkadzają. Wszelki również wynalazek jest rzeczą obojętną dla kwalifikacji wartościowej. Służyć może dobru i złu, zależnie od rodzaju działalności ludzkiej. Jeżeli więc maszyna tak zaciężyła nad naszem życiem, że zewsząd podnoszą się głosy, narzekające na jej szkodliwość, to dlatego, że rozwój kultury duchowej nie idzie w parze z doskonaleniem się materjalnem.

Więcej nawet, kultura duchowa, objawiająca się w religijności, doskonałości życia, sztuce, wiedzy, zmniejsza się wraz z postępem technicznym. Dlatego człowiek, mając tak potężną broń w ręku, źle jej używa. Zamałe ma bowiem urobienie wewnętrzne, ażeby mógł umiejętnie, bez szkody dla subtelnego organizmu duszy, posługiwać się wielką skalą ułatwień życiowych w dotykalnym świecie.

Zewnętrzne, bogate w swej różnorodności dzieła techniki oszołamiają go, mącą mu w głowie, nadwyrężają w nim jego i tak słabą harmonję wewnętrzną. Z ręką na przekładni wielkich machin, zapatrzony w lśniący krąg rozpędowych kół, poddaje się ich sile suggestywnej, zapomina o prawach ducha. W celach zysku, nie licząc się z zasadami etyki społecznej, wprowadza maszyny wszędzie, nawet tam, gdzie są niepotrzebne, powodując nę-

[2]) cf. prof. Charles Gide: *„Les principes de l'Economie Sociale"*, ed. XIII.

dzę, kryzysy, nadprodukcje, bezrobocia, wojny. A nakoniec sam, na wzór machin, których staje się niewolnikiem, automatyzuje się, tępieje, jakgdyby do przemyślnych motorów wlewał część swego ducha. Życie też płynie jednostajnym, ubogim w różnorodność szlakiem, po którym chodzą ludzie, podobni do siebie, noszący stempel masowej produkcji fabrycznej, niby bele świeżo wyprasowanego papieru, pachnące jeszcze maszyną, według wyrażenia Rabindranath'a Tagore. A twory ich umysłu, jak np. powieści, dramaty, wyglądają, jak wypuszczone z automatycznego kotła, w który się wrzuca typy czarne i białe, sytuacje komiczne, tragiczne, modne zagadnienia, zakręca się korbą i wyciąga gotowy produkt.

Stereotypowa moda ogarnia świat — to niewątpliwe. Zburzenie jednak maszyn nie byłoby na to wszystko skutecznem lekarstwem.

Należy zburzyć ciemnotę religijną i umysłową, oddawna osnuwającą nowoczesne społeczeństwa. Należy, póki czas, wybić w ciasnym pokoju naszej cywilizacji okno na świat wieczny, duchowy, przez ogólny nawrót do źródeł żywej wiary. Należy oświatą narodową tak pokierować, żeby nie wychowywała nadmiaru zamiłowań technicznych i lekceważenia sztuki i wiedzy czystej.

I wtedy dopiero, przez przywrócenie zachwianej równowagi między kulturą duchową i materjalną ludzkości, człowiek, posługujący się maszyną, skutecznie pracować będzie dla wykucia godnych dzieł w kuźni wszechświata.

TADEUSZ KORDYASZ

PRZED STU LATY

Z ŻYWEM uczuciem zainteresowania bierze się do rąk wydany przed stu zgórą laty, „Protokuł (stenogramów jeszcze podówczas nie znano) posiedzeń Izby Poselskiej z miesiąca czerwca 1830 r.".

Był to czwarty i ostatni sejm Królewstwa Kongresowego. Monografista tej epoki, prof. Szymon Askenazy [1]), pisze o nim, co następuje:

„Działalność Sejmu była w porównaniu do ostatniego mniej obfita pod względem prawodawczym, a natomiast ujawniła wyraźnie istniejące rozdźwięki, gdyż brakło czynników, powodujących hamowanie się opozycji, z jakiemi liczono się na Sejmie 1825 wobec Aleksandra. Uchwalone zostały drobne nowele prawodawcze... oraz podatek narodowy na postawienie pomnika Aleksandrowi I kosztem 6 miljonów złp., jako odnowicielowi Królestwa.. Odrzucono natomiast znaczną większością w Izbie poselskiej (dwa) projekty rządowe... (w tem projekt) o prawie małżeńskiem (93 głosami przeciw 22)".

Nas interesuje przedewszystkiem właśnie aktualna obecnie sprawa małżeńska. Sejm poświęcił jej swoje dziewiąte i dziesiąte posiedzenie.

Chodziło mianowicie o modyfikację ustawy z r. 1825, uchwalonej w miejsce obowiązującego dawniej kodeksu napoleońskiego. O ile kodeks napoleoński uznawał związek małżeński za kontrakt cywilny, ustawa z 1825 r. była bardziej kompromisową i, odrzucając wszelkie inne śluby oprócz kościelnych, roztrząsanie ich ważności pozostawiała sądom świeckim. Projekt z 1830 r., odłączając w związku małżeńskim stronę religijną od cywilnej, kwestję decydowania o ważności małżeństw przyznawał ostatecznie tem samem sądom duchownym. Stąd, z tej podwójnej procedury wypływał, wysuwany przez mówców opozycji zarzut, że ktoś co chciał unieważnienia małżeństwa, po przeprowadzeniu swej sprawy przez trzy instancje cywilne, musiał jeszcze apelować, często z odmiennym skutkiem, do instancji kościelnej.

Obrady nad projektem małżeńskim rozpoczęły się przemówieniem ministra oświecenia Grabowskiego. Grabowski, syn Stanisława-Augusta, następca Stanisława Potockiego, w dłuższym wywodzie historjozoficznym bronił nierozerwalności i sakramentalności małżeństwa. Zaczął od stwierdzenia, że „póty Rzym zwycięski kwitnął, póki związek ten poczytywał za święty i nierozerwalny". Powoływał się dalej pan minister na św. Pawła Apostoła, który nazwał małżeństwo wielkim sakramentem, mówił o statucie krakowskim Zygmunta Starego i jak to nawet Kalwin zgadzał się z tem, „ażeby śluby co do ich istoty duchownej jedynie od Kościoła zależały".

Opozycja przeciwko projektowi licznych na trybunę sejmową wysłała mówców. Po namiętnej mowie Wołowskiego, deputowanego warszawskiego, przemawiali jeszcze m. i. Ignacy Wężyk, późniejszy minister Barzykowski i znany już wtedy, jako wytrawny dziejopis, Joachim Lelewel. „Wielka mowa" Wołowskiego, poza ścisłą analizą projektu i realniejszemi zarzutami, pełna była wycieczek w stronę „ciemnoty wieków średnich", „inkwizycji hiszpańskiej", „jezuickiego fanatyzmu". Podobnie, jak następnego dnia Lelewel, podawał Wołowski w wątpliwość przyjęcie przez Polskę zasad soboru trydenckiego, na co im obydwom odpowiedział kasztelan Tomasz Grabowski, że „przez trzy blisko wieki, co jest rzeczą niezaprzeczoną, każdy duchowny w Polsce przy wszystkich, jakie odbiera święceniach i instytucjach, bądź na probostwo bądź na godność biskupią, zachowanie przepisów *concilium* trydenckiego uroczystą zapewnia przysięgą".

W inną uderzył strunę poseł podlaski, Ignacy Wężyk:

„A więc za panowania Najjaśniejszego Mikołaja I — wołał — tylu już pamiętnemi czynami wzbogaconego! Za panowania pogromcy Persów i Turków, pokojodawcy Grecji! w naszej małej krainie władza sądzenia spraw rozwodowych stanowczo ma się z rąk naszych wyślizgnąć".

I podobnie jak Wołowski i inni mówcy, wzywał Wężyk do nawrotu ku prawom napoleońskim.

Ale największe bodaj wrażenie z przemówień przeciwko projektowi wywołała mowa Joachima Lelewela. Ten historyk i polityk, późniejszy na wygnaniu przywódca polskiego stronnictwa demokratycznego, dowodząc z jednej strony rzymskiego charakteru prawniczego kodeksu Napoleona, z drugiej zagłębiał się w „mroki średniowiecza", żeby analizować postanowienia cesarzy rzymskich i bizantyńskich czy badać sprawy rozwodowe pierwszych Piastów. W obronie projektu, poza mówcami z Rady Stanu, kruszył kopje jedynie poseł Władysław hr. Ostrowski, późniejszy marszałek sejmu listopadowego:

„Wszakże — mówił — przerzucając karty dziejów naszych, zaprzeczyć nie zdołamy, że przodkowie nasi, tak jak

[1]) Szymon Askenazy: „Rosja — Polska, 1815 — 1830". Lwów 1907, str. 116.

i my, zrodzili się na łonie rzymsko-katolickiej wiary, pod jej znakami bronili dzielnie swej niepodległości... Polak, wznosząc pienia do Bogarodzicy, kruszył oręż nieprzyjaciół i nieśmiertelnym wieńcem zwycięstw i sławy zdobił ojczyste skronie. I tejże to religji przepisy my, wnuki owych wzorowych i dzielnych mężów, osłabiać mamy?"

Czy obrady nad sprawą małżeńską budziły w przedlistopadowej Warszawie większe zainteresowanie, nie wiemy. Stary klasyk, Kajetan Koźmian, krótką im tylko w swych obszernych pamiętnikach poświęca wzmiankę. Ślad tych rozpraw znajdziemy za to w pamiętniku młodziutkiego naówczas, ale żywo się sprawami publicznemi interesującego, Władysława Wężyka; dłuższe im poświęcił również konsyderacje Paweł Popiel, późniejszy redaktor „Czasu".

Ten światły katolik, a zarazem wybitny konserwatysta, wracał właśnie z Paryża, które to miasto ożywiały natenczas wielkie przesilenia gabinetowo-parlamentarne (Villele - Martignac, Martignac-Polignac), przebłyski większych i krwawych burz dziejowych. W Paryżu pan Paweł zetknął się był z tamtejszymi przywódcami katolickimi, razem zapewne przedyskutowali palące zagadnienia doby współczesnej. I oto, co myślał wracający z Zachodu młody działacz katolicki o burzy rozwodowej:

„Projekt do prawa o małżeństwach, nazbyt kanoniczny dla skrajnych posłów, nie był dosyć dogmatyczny dla biskupów, którzy przeciwko niemu wystąpili... (w konferencjach z Grabowskim) zastępowałem Skórkowskiego, (biskupa) krakowskiego... Broniliśmy nauki Kościoła i projekt ze stanowiska prawa kościelnego musiał być potępiony. Grabowski, skompromitowany względem cesarza, wymógł od 5 biskupów, że się zgodzili; krakowski (Skórkowski) i podlaski (Gutkowski) odrzucili cały projekt, który z innych powodów przez Izby nie przeszedł... Wobec tego rozdziału między biskupami, cesarz delegację mniejszości uważał za buntowniczą, Skórkowskiego do Senatu nie powołał, wyjechać mu kazał i odtąd ścigał swą niełaską... Prawo spotkało się z ostrą opozycją, na której czele stanął Lelewel. Ani Małachowski, ani Świdziński, których przekonania były katolickie, nie wystąpili przeciwko niej: rozumiem, że dlatego, iż projekt nie mógł zadowolić prawdziwego katolika"[2]).

Dalsze prace sejmu Królestwa Kongresowego nad sprawą małżeńską przerwało pasmo wypadków dziejowych: w miesiąc po debatach czwartego sejmu wybuchła w Paryżu rewolucja lipcowa, na schyłku zaś roku 1830 przyszedł wybuch powstania listopadowego, a w ślad za niem paskiewiczowska reakcja.

I czyż ciepło uczuć rodzinnych nie miało stanowić pewnego rodzaju *panaceum* w nadchodzącej właśnie, niezwykle ciężkiej dla narodu epoce? Zrozumiał to największy z naszych genjuszów, Mickiewicz, kiedy „w drodze do Genui", na wygnanie, w tym samym 1830-tym roku „matce Polce" dedykował wiersz, charakteryzujący tak doskonale los dzieci stulecia niewoli:

„Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie nocne rodaków rozmowy"...

ZDZISŁAW MORAWSKI

---

[2]) „Pamiętniki Pawła Popiela" (1807 — 1892), Kraków 1927, str. 54.

GOETHEGO MYŚLI NIEKTÓRE

W SETNĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI PRZYPOMNIANE († 22 MARCA 1832)

(KRYTYCY). Brak charakteru u jednostek, będących badaczami lub pisarzami, jest źródłem całego zła w naszej najnowszej literaturze[1]). Zwłaszcza w krytyce brak ten okazuje swoje niepożądane skutki, wtedy mianowicie, kiedy albo fałsz szerzy się jako prawdę, albo też dla jakiejś mizernej prawdy, pozbawia się nas czegoś wielkiego, z czem było nam lepiej. Do tej pory świat wierzył w bohaterstwo takiej Lukrecji, takiego Mucjusza Scevoli, i to nas rozgrzewało i podnosiło. Lecz oto przychodzi krytyka historyczna i powiada, że tych osób nigdy nie było, iż należy traktować je jako fikcje i bajki, wynikłe z rzymskiej wielkości ducha. I cóż nam po takiej mizernej prawdzie! A jeśli Rzymianie byli dość wielcy, ażeby coś takiego wymyśleć, to my bądźmy przynajmniej dość wielcy, aby w to wierzyć — — —

Nie lepiej jest w piśmiennictwie pięknem. Także i tam wielkie cele i szczere zrozumienie dla prawdy i dzielności i dla ich propagandy, są bardzo rzadkiem zjawiskiem. Jeden popycha i dźwiga drugiego, bo znów tamten jego dźwiga i popycha; ale to, co jest naprawdę wielkie, jest im wstrętne, i chętnieby je wygnali precz ze świata, ażeby móc samemu coś znaczyć. Taką jest masa, a poszczególni, wybitniejsi niewiele lepsi.

(REWOLUCJE) — — — To prawda, nie mogłem być zwolennikiem francuskiej rewolucji, gdyż jej okrucieństwa były za blisko i wstrząsały mną co dnia i co godziny, podczas gdy jej dobroczynnych skutków wtedy jeszcze nie można było przewidzieć. Podobnież nie mogłem pozostać obojętny wobec tego, iż w Niemczech próbowano sztucznie inscenizować podobne zdarzenia, jakie we Francji były skutkiem wielkiej konieczności.

Niemniej jednak, wcale nie byłem zwolennikiem pańskiej samowoli. Owszem, byłem doskonale przeświadczony, że każda wielka rewolucja pochodzi nie z winy ludu, ale z winy rządu. Rewolucje okazują się zupełnie niemożliwe, skoro tylko rząd okazuje się stale sprawiedliwym i stale czujnym tak, iż zapobiega im przez reformy na czas, a nie wzdraga się przed niemi tak długo, aż konieczne ustępstwa wymuszone na nim zostaną od dołu.

Ponieważ jednak nienawidziłem rewolucji, przeto nazwano mię **przyjacielem faktu**. Ale ja sobie wypraszam takie dwuznaczne tytuły. Gdyby faktem było wszystko, co jest wyśmienite, dobre, sprawiedliwe, to oczywiście nie miałbym nic przeciwko temu. Skoro jednak faktem jest, obok niejednego dobrego, też wiele złego, niesprawiedliwego, niedoskonałego, to być przyjacielem faktu, znaczyłoby nie wiele mniej, niźli być przyjacielem tego, co przestarzałe i złe.

Czas pojmować należy w wiecznym pochodzie, rzeczy ludzkie co pięćdziesiąt lat zmieniają kształt, i to urządzenie, które w r. 1800 było doskonałością, w r. 1850 będzie może ułomne.

A pozatem, dla narodu to tylko jest dobre, co wyprowadzi ze swojego własnego rdzenia, ze swo-

---

[1]) Wybrane z Eckermanna „Rozmów z Goethem" (1823 — 1832). Tytuliki tłumacza.

jej własnej, powszechnie odczuwanej potrzeby, bez małpowania innych. Co dla jednego narodu, na pewnym etapie jego życia, może być pożywne i zbawienne, to samo gdzieindziej okazać się może trucizną. Wszystkie próby, ażeby gdzieś wprowadzić jakąś zagraniczną nowość, tam, gdzie w głębokich słojach narodu odpowiednia nie tkwi potrzeba, głupie są i żadne w tym celu zamierzone rewolucje nie udadzą się; bo niema w nich Boga, który się zdala trzyma od podobnych fuszerek — — —

(JEGO KONSERWATYZM) — — — Dziwne to, bardzo dziwne, jak łatwo opinja publiczna fałszywie ocenia człowieka. Nie wiedziałem o tem, ażebym kiedykolwiek i czemkolwiek zgrzeszył przeciwko ludowi; z tem wszystkiem, raz na zawsze uznano, że nie jestem przyjacielem ludu. Coprawda, nie jestem przyjacielem rewolucyjnego motłochu, który kroczy przez łupiestwo, mord i pożogę i pod fałszywym szyldem dobra publicznego dochodzi najordynarniejszych, egoistycznych celów. Takich ludzi przyjacielem nie jestem, tak samo jak nie jestem przyjacielem jakiegoś Ludwika XV. Nienawidzę każdego gwałtownego przewrotu, bo każdy tyleż dobrego niweczy, ile przynosi. Nienawidzę tych, którzy go robią, ale i tych, którzy dają doń powód. Czyżbym jednak dlatego nie miał być przyjacielem ludu? I czyli inaczej myśli lojalnie usposobiony człowiek? Pan wie, jak bardzo cieszę się z każdej oczekiwanej poprawy stosunków, ale, jak rzekłem, wszystko, co gwałtowne, wszystko, co s k a c z e, jest mi głęboko wstrętne, bo nie jest zgodne z naturą.

Jestem przyjacielem roślin, różę kocham jako coś najdoskonalszego, czego nam z pośród kwiatów nasza niemiecka przyroda dostarczyć może; ale nie jestem tak głupi, abym się domagał jej od mego ogrodu już teraz, przy końcu kwietnia. Teraz jestem zadowolony, kiedy znajduję pierwsze zielone listki, i zadowolony, kiedy z tygodnia na tydzień każdy listek wydłuża swoją łodyżkę; cieszę się, kiedy w maju pączek widzę i szczęśliwy jestem, kiedy mię w końcu czerwiec obdarza samą różą, ze wszystką jej wonią i krasą. Jeśli ktoś nie umie czekać na właściwy czas, niechaj się zwróci do składu tandety.

(O WŁADCY PEWNYM) — — — Był to człowiek z jednej bryły. Wszystko w nim płynęło z jednego, wielkiego źródła. A ponieważ całość była dobra, więc i szczegóły były dobre, bez względu na to, co robił i czego się chwycił. Zresztą, szczególnie trzy rzeczy pomagały mu do władania: Miał dar rozróżniania umysłów i charakterów i stawiania każdego na właściwem miejscu. To było bardzo wiele. Następnie miał coś, co znaczyło tyleż, jeśli nie jeszcze więcej. Ożywiony był najszlachetniejszą dobrą wolą, najczystszą miłością człowieka i z całej duszy chciał tylko tego, co najlepsze. Szczęście kraju było zawsze jego pierwszą myślą, dopiero na samym końcu myślał troszkę o sobie. Szlachetnym pomagać, dobre cele popierać, do tego miał dłoń zawsze skorą, wyciągniętą i otwartą. Było w nim wiele boskiego. Byłby chciał całe człowieczeństwo uszczęśliwić. A miłość płodzi miłość. Kogo miłują, temu lekko rządzić.

A po trzecie: był większym od swego otoczenia. Prócz dziesięciu głosów, które mu w jakimś wypadku radziły, on słyszał jedenasty, lepszy, w samym sobie. Cudze podszepty spływały po nim, i nie łatwo zdarzało mu się popełnić coś niewładczego, skoro umiał odsłonić dwuznaczną zasługę, a nad protegowanymi szubrawcami roztoczyć czujność. On sam wszystko widział, sam oceniał i w każdym wypadku sam w sobie znajdował najpewniejszą podstawę. Przytem był milczącego usposobienia, a po słowach jego następował czyn.

(GŁUPTASY): Goethe opowiadał mi o odwiedzinach dwóch Rosjan: „Byli to naogół całkiem przyzwoici ludzie, ale jeden z nich nie wydał mi się przyjemny, bo podczas całej wizyty nie odezwał się ni słówkiem. Wszedł z niemym pokłonem, potem ust nie otworzył, wreszcie po upływie pół godziny pożegnał się takim samym niemym pokłonem. Przyszedł, zdaje się, tylko po to, ażeby mnie zobaczyć i przyglądać mi się. Cały czas siedząc naprzeciwko mnie, nie spuszczał ze mnie oka. To mię nieco sfatygowało, wobec czego zacząłem gadać najgłupsze rzeczy, co mi tylko strzeliło do głowy. Zdaje mi się, żem za temat wziął Stany Zjednoczone Ameryki płn. i mówiłem zupełne nonsensy, wszystko, co wiedziałem i czego nie wiedziałem, a wszystko niesklecone. Ale to się moim cudzoziemcom całkiem podobało. Opuścili mię z minami bynajmniej nie zawiedzionemi". — — —

(MIŁOŚĆ DO SAWANTEK): Rozmawialiśmy o pewnej pięknej damie, co do której jeden z obecnych przyznał się, iż jest bliskim zakochania się w niej, aczkolwiek inteligencję jej trudno ocenić jako świetną.

„Ba, zaśmiał się Goethe, jakgdyby miłość miała cośkolwiek do czynienia z inteligencją! W młodej niewieście kochamy zupełnie inne rzeczy, niż inteligencję. Kochamy w niej piękność, młodość, zalotność, tkliwość, charakter, wady, kaprysy i Bóg wie, jakie jeszcze rzeczy, które trudno wyrazić. Ale nie kochamy jej inteligencji. Jej inteligencję szanujemy, jeśli nią błyszczy, a także przez nią może dziewczę w naszych oczach nieskończenie wiele zyskać na wartości. Inteligencja może też służyć do tego, by nas przyciągać, kiedy już kochamy; jednakże nie inteligencja jest tem, coby zdolne było nas zapalić i wzniecić namiętność"......

(SZACHETNOŚĆ): Co szlachetne, cichej jest natury — — —

(GŁUPOTA): Głupota nie wie, co troski — — —

(OSOBISTOŚĆ): Trzeba czemś być, aby coś zrobić. — — —

(PIĘKNO PRZYRODY): „Śmieję się z owych estetyków, co się wysilają, ażeby to coś niewyrażonego, co oznaczamy mianem piękna, ująć w pojęcie zapomocą kilku abstrakcyjnych słów. Piękno jest prafenomenem, zjawiskiem pierwszem, które wprawdzie samo w sobie nigdy się nie jawi, ale którego odblask znać w tysiącznych, rozmaitych przejawach ducha, i które jest równie urozmaicone i różnorodne, jak i sama przyroda".

— Słyszałem nieraz mówiących, rzekłem, że przyroda jest zawsze piękną i dlatego jest ona rozpaczą artysty, który rzadko zdolen jest dosięgnąć jej.

„Ja dobrze wiem, odrzekł Goethe, że natura roztacza częstokroć czar niedosięgły; nie sądzę jednakowoż, aby piękną była we wszystkich swych przejawach. Jej intencje wprawdzie są zawsze dobre, jednakże niezawsze znajdą się warunki, w których ona mogła dojść do doskonałego wyrazu....

— — — ażeby się charakter jakiegoś jestestwa mógł doskonale wyrazić, potrzeba, ażeby budowa rozmaitych jego członków dopasowaną była do jego naturalnego przeznaczenia i przeto celową. Np. dziewczyna męskiej figury, bez należycie szerokiej miednicy i pełnych piersi, nie byłaby piękną, naturalnem jej przeznaczeniem jest dzieci

rodzić i dzieci karmić. Przecież zbyt wiele tego, też nie byłoby pięknie, albowiem wykraczałoby poza celowość”.

(TANIA TELEOLOGJA): Człowiekowi wrodzone jest uważać się za cel stworzenia i wszystkie rzeczy stosować do siebie, kierując się jedynie względem, czy mu to szkodzi, czy służy. Posługuje się światem roślinnym i zwierzęcym i pochłaniając inne stworzenia jako należną sobie strawę, sławi Boga, co po ojcowsku o niego dba. Krowie on mleko odbiera, pszczole miód, a wełnę owcy; a ponieważ te rzeczy są dlań pożyteczne, przeto wierzy, iż to wszystko li dla niego stworzone. Wyobrazić sobie nie może, ażeby najmniejsze zgoła ziółeczko nie dla niego było na świecie i jeśli nawet do tej pory nie ma zeń pożytku, to się ów napewno kiedyś odkryje — — —

Tacy utylitaryści powiadają: wół ma rogi, ażeby się niemi bronić. Ale ja pytam: a dlaczegóż owca nie ma rogów? Albo ma je tak zakręcone, że się bronić niemi nie może? Natomiast co innego będzie, jeśli powiem: wół broni się rogami, przeto iż je ma.

Pytanie: p o c o, jest nawskroś nienaukowe. Dalej się zajdzie z pytaniem: j a k? — — —

Utylitarystom zdaje się, że utracą swego Boga, jeśli nie będą w nim tego wielbić, który wołu na to dał rogi, iżby się bronił. Niechże oni jednak pozwolą mnie, bym t e g o wielbił, który w przepychu stworzenia swojego tak jest wielki, iż po tysiącznych roślinach jeszcze jedną uczynił, co wszystkie poprzednie w sobie zawiera, a po tysiącznych zwierzętach — istotę, która zawiera je wszystkie: Człowieka.

Niechże sobie wielbią tego, który bydłu daje paszę, a człowiekowi jeść i pić, tyle ile zjeść potrafi; ale ja wielbię t e g o, który nadał światu tyle mocy twórczej, iż, jeśli się tylko miljonowa jej cząstka zrealizuje, to świat zaroi się taką obfitością stworzeń, że nic mu nie zaszkodzi, ani wojna, ani mór, powodzie, ni pożary. Oto jest m ó j Bóg.

(PODZIW): Najwyższem do czego człowiek zdoła dojść, jest podziw — — —

(ROMANTYZM I KLASYCYZM): Zeszliśmy potem na najnowszych poetów francuskich i na kwestję znaczenia wyrazów: klasyczny i romantyczny. Goethe rzekł: „Wpadłem na nowe określenie, które niezgorzej wyraża ich stosunek. Klasycznem mianowicie mienić to, co zdrowe, romantycznem — co chore. Pieśń Nibelungów klasyczną jest, podobnież jak Homer, gdyż oboje zdrowe są i tęgie. To, co nowe, przeważnie nie dlatego już romantyczne, że jest nowe, lecz dlatego, że jest słabe, chorobliwe, chorowite, a stare nie dlatego jest klasyczne, że jest stare, lecz dlatego, że jest silne, czerstwe, wesołe i zdrowe — — —

— — — Pojęcie poezji klasycznej i romantycznej, które się tak rozpowszechniło i powoduje tyle sporów i rozterek, wyszło pierwotnie odemnie i Schillera. Moją maksymą co do poezji było postępowanie objektywne, i chciałem jemu tylko przyznać rację. Schiller zaś, który tworzył całkiem subjektywnie, uważał swój rodzaj za słuszny i rozprawkę o naiwnej i sentymentalnej poezji napisał, ażeby się bronić przeciw mnie. Dowodził mi, że ja sam, wbrew swej woli, jestem romantyczny.

(SZCZEROŚĆ POETY. „UNIWERSALIZM“ GOETHEGO): Zauważyłem dość nieostrożnie: Zarzucano panu, że pan w czasie wojny o niepodległość nie chwycił za broń, a przynajmniej nie działał jako poeta.

„Zostaw to, mój drogi,—odpowiedział Goethe, ten bezmyślny świat sam nie wie, czego chce — — — Jakże mogłem za broń chwytać bez nienawiści? A jakże mogłem nienawidzieć bez młodości? Przecież miałem wtedy przeszło 60 lat — — —

— — — a siedzieć w pokoju i pisać piosnki wojenne—toby było akurat w moim guście!.. Być na biwaku, kędy nocą konie wietrzą podchodzące nieprzyjacielskie forpoczty — i wtedy pisać; oto coby mi się podobało! Ale to nie jest m o j e życie, ani m o j a rzecz — — — Nie mam ani wojowniczej natury, ani wojowniczego ducha i pieśni wojenne byłyby dla mnie maską, któraby mi źle leżała na twarzy.

W swojej poezji nigdy nie byłem afektowany. Czem nie żyłem, co mnie całego wprost nie paliło i nie zmuszało do tworzenia, o tem nie pisałem nigdy. Wiersze miłosne pisałem, kiedym kochał. Jakżebym mógł bez nienawiści pisać poematy nienawiści do Francuzów, choć Bogu dziękowałem, kiedy sobie poszli. Jakżebym mógł był ja, dla którego tylko te rzeczy znaczą: kultura i barbarzyństwo, nienawidzieć narodu, należącego do najbardziej kulturalnych na świecie i któremu zawdzięczałem tak wielką część mego własnego wykształcenia?“...

(ZAROZUMIAŁOŚĆ A PEWNOŚĆ SIEBIE): — — — — znajdujemy raczej, że wszyscy ludzie umysłowo czy fizycznie dobrze uposażeni przez naturę, są z reguły najskromniejsi, podczas gdy zwłaszcza umysłowo pomyleni żywią wielkie wyobrażenie o sobie. Zdaje się, że dobrotliwa natura wszystkim tym, którzy pod jakimś względem nie wypadli po jej myśli, daje wielkie o sobie wyobrażenie i zarozumiałość jako środek wyrównawczy zastępczy. U ograniczonych i umysłowo ciemnych znajdujemy zarozumiałość; u umysłów jasnych i wysoko uzdolnionych nie napotkasz jej nigdy. U tych znajdzie się conajwyżej radosne poczucie własnej siły; ponieważ jednak ta siła jest rzeczywistą, zatem i poczucie to jest wszystkiem, tylko nie zarozumiałością.

(TREŚĆ I FORMA). Gdybym był jeszcze młody i dostatecznie zuchwały — — — tobym używał alliteracyj, assonansów, błędnych rymów, wogóle wszystkiego, coby mi przyszło pod rękę i było wygodne; ale szedłbym wprost do sedna rzeczy i próbował mówić rzeczy takie dobre, że każdego kusiłoby czytać to i uczyć się na pamięć.

(EPOKI ZDROWE I CHORE): Wszystkie epoki wsteczne, znajdujące się w stanie rozkładu, są subjektywne. Natomiast wszystkie epoki, kroczące poprzed siebie, mają kierunek objektywny — — —

(NIEŚMIERTELNOŚĆ): Przeświadczenie o przetrwaniu naszem wynika mi z pojęcia działalności; jeśli bowiem czynny jestem aż do samego końca, bez tchu, to natura jest zobowiązana wskazać mi inny kształt bytu, skoro dotychczasowy nie zdoła już duchowi memu dotrzymywać dalej kroku.

(BÓG I ŚWIAT): Rozmowa obróciła się ku wielkim ludziom, ktorzy żyli przed Chrystusem, pomiędzy Chińczykami, Hindusami, Persami i Grekami, i mowa była o tem, że siła Boża w nich tak samo działała, jak w kilku wielkich Żydach Starego Testamentu. Zeszliśmy też na kwestję, jak się ma rzecz z działalnością boską w wielkich ludziach obecnego świata, pośród którego żyjemy.

„Kiedy się słyszy, co ludzie mówią, powiedział Goethe, to nieomal chce się przypuszczać, iż są oni mniemania, jakoby Bóg od dawnego czasu zupełnie się wycofał w bezruch, że człowiek stoi obecnie

wyłącznie na własnych nogach i musi obzierać się, jakby tu sobie dać radę bez Boga i bez jego codziennych natchnień. Jeszcze się w religijnych i moralnych sprawach dopuszcza jakoweś boskie wpływy, w rzeczach wszelako wiedzy i sztuki, sądzą, że to wszystko jest wyłącznie ziemskie i niczem, — jeno wytworem sił czysto ludzkich.

Spróbujże jednak, jeden z drugim, i spraw ludzką wolą i ludzkiemi siły, coś takiego, coby równe było tym tworom, które noszą imiona Mozarta, Rafaela, Szekspira — — —

I wogóle, jak właściwie te rzeczy stoją? Żadną miarą nie może tak być, ażeby Bóg, po tych znanych sześciu dniach stworzenia, udał się na spoczynek; a on raczej wciąż jest czynny, tak samo jak w pierwszym dniu. Poskładać ten dość prostacki świat z poszczególnych żywiołów i kazać mu się z roku na rok kręcić w promieniach słońca, to napewno byłaby wcale mizerna dla niego zabawka; gdyby nie to, że on sobie zamierzył na tem materjalnem podścielisku założyć szkółkę świata duchów. A przeto, ciągle poprzez wyższe działa natury, by pociągać ku sobie mierniejsze".

Goethe umilkł. Ja jednak jego wielkie i dobre słowa przechowałem w mojem sercu.

Zakopane. Przełożył K. L. K.

SYMBOLIKA „WESELA"

ZAMKNIĘCIE

W ZESZYCIE poprzednim niepodobna było dla braku miejsca dać zamknięcia tego, co w szeregu fragmentów („Symbolika Wesela", „Długie noce" i „W mgle nieporozumień") w roczniku poprzednim i tego roku uległo analizie. Oto w paru słowach konkluzja:

Przebiegłszy całe koło retrospekcyjnych oglądów, mniej lub więcej prostych ścieżek, wiodących do prawdziwej wiedzy o „Weselu", dochodzimy do tego samego punktu, z któregośmy wyszli, i, sądzę, symbole ukryte w tym dramacie, uwypukliły się i wyjaśniły, o ile to możliwe. W poszukiwaniach swych, jak to zwykle bywa w poszukiwaniach, krytyka nasza często schodziła na manowce, nie umiejąc odróżnić fenomenów od noumenów, pozorów od istotnych intencyj Wyspiańskiego, jednak poszukiwania te były potrzebne, i jakie w rezultacie twórcze!

Zamykając te rozważania, zreasumuję je w dłuższej cytacie z własnego artykułu [50]):

„Chochoł i Złoty Róg symbolizują odwieczną antynomję romantyczną. Chochoł — to rzeczywistość, zaś Złoty Róg — to marzenie, tęsknota za czemś nadzwyczajnem, niezwykłem, niecodziennem a pożądanem. Oczywiście. A jednak stosunek Wyspiańskiego do tych symbolów jest odmienny, a nawet wręcz przeciwny, niż zwykłe ustosunkowanie się romantyka. Dla Wyspiańskiego Chochoł to, prawda, brudny, szary śmieć, pałuba słomiana, zrodziała na deszczu i na wichrze, to życie nasze codzienne, tak bardzo niepoetyczne i pospolite, — a jednak Chochoł we wnętrzu swem ukrywa wonny i wiecznie żywy krzak róży, który właściwie stanowi całą wartość pozytywną symbolu".

A teraz Złoty Róg.

„Jest on antytezą Chochoła. Złoty Róg dostaje w ręce marzyciel, pojmujący Polskę w kategorjach romantycznych, wiecznie marzący o Wernyhorach i innych zwidach z baśni,— słowem Gospodarz, figura groteskowa, którą autor traktuje z dobrotliwą pobłażliwością. Z rąk Gospodarza Złoty Róg dostaje się do rąk Jaśka — drużby, co ma wyrażać kwietystyczną rezygnację szlachty na rzecz chłopa, który już wszystko za nas odrobi. („Bądź taki, jacy myśmy byli, cha, cha, wyucz się naszych wad!") To też Złoty Róg kojarzy się odrazu i z psychologiczną koniecznością, z nowym symbolem: czapki z pawiem piórem. Co znaczy ta czapka, tego chyba tłumaczyć nie trzeba: toć to odwieczna pycha polska, blichtr i próżność.

Tak tedy Złoty Róg — to symbol romantycznego wyczekiwania, zaniedbania codziennego obowiązku i rzeczywistości, symbol spodziewań nadzwyczajnych, z odwróceniem się od życia i jego surowej, lecz jedynie twórczej logiki. Złoty Róg — toć to symbol niemal identyczny z Harfą Wenedów i stosunek autora do niego jest bezwzględnie taki sam, jak stosunek Słowackiego do Harfy, to zn. negatywny.

Nie zgadza się to z konwenansem romantycznym i dlatego przedziwnym trjumfem ironji twórczej autora jest, jak słusznie to zaznaczył Zrębowicz (w przepisach do „P r o m e t h u d i o n a" Norwida), że ów negatywny symbol Wyspiańskiego podchwyciła całkiem poważnie romantyczka Konopnicka w „Rocie", nadając mu charakter jaskrawie dodatni.

Tedy myśl „Wesela" dałaby się króciutko streścić w ten sposób: oto trzeba się odwrócić od majaków i sceptycznych spodziewań cudu, nie trzeba marzyć o Złotych Rogach, zato czas już najwyższy wziąć życie polskie w swoje ręce, przepromienić je twórczą miłością, stać się „odpowiedzialnym za wszystkich swoich przodków w rodzinie duchowej i doczesnej" i dokonać tego czynu, którego co rok dokonywa przyroda (kora), czynu wydobycia krzewu różanego z obsłonek szarej i codziennej rzeczywistości. Rzeczywistość ta jednak, owa słoma, nie powinna być przedmiotem pogardy ani lekceważenia, gdyż w jej łonie dojrzewa p o w o l i ów cud odrodzeń".

Wyspiański, który jak nikt (z wyjątkiem Dmowskiego) we współczesnej Polsce rozumiał b i o l o g i c z n y charakter dziejów, poto właśnie stworzył ten dwój-jedyny symbol Chochoła, by przez niepokojącą jego zagadkę zaszczepić narodowi myśl o tym biologicznym procesie dojrzewania prawd w społeczeństwie.

Czyż wobec tego należy dziś pytać: czy „Wesele" jest jeszcze aktualne?

Leon P ł o s z e w s k i [51]), zadawszy sobie to pytanie, odpowiada na nie, rzecz jasna, pozytywnie, tłumacząc, że „Wesele" było dawniej misterjum niewoli i słabości, dziś zaś jest misterjum sumienia polskiego". Głęboko przekonywująco tłumaczy to B r z o z o w s k i [52]):

„Wyspiański postawił w „Weselu" na scenie trybunał, sumienie walczącego ze śmiercią narodu i obnażył przed niem serce widzów. Od kolebki aż do grobu kłamać sobie, snuć pasmo myśli nieobowiązujących; łudzić się, że dość jest nie widzieć powagi życia, aby przeminęły bez śladu niemoc i tchórzostwo...

Życie ponosi was sennych, kłamstwem rozmarzonych, czyni z was to, co wypływa z jego logiki... Nie wychodząc poza siebie, sam na sam z sobą zamknięci, udział bierzemy w wielkim zamęcie życia. Niema ucieczki przed odpowiedzialnością. Życie przepływa przez nas, zdążając od swych poza wiekami tryskających źródeł w krainy bezkresne. Nie nasze jest, wchodząc w pierś naszą. Miljony istot, tak jak my nikłych, je wykuły. Nie nasze będzie, gdy z nas wyjdzie: żyć będzie w piersiach nam nieznanych, los ich, szczęście i niedolę stanowiąc. Wielka dziejowa odpowiedzialność, rodowa tragedja człowiecza skupia się w każdej skrze ludzkiego istnienia. Sztuka jest rodową świadomością ludzkości".

Lipiec 1931
Karoliszki nad Wilją STANISŁAW CYWIŃSKI

---

[50]) Walki z romantyzmem — „Dodatek literacki" do „Dziennika Wileńskiego," 1926, Nr. 2 z dn. 3 kwietnia.

[51]) „Wesele" dawniej i dziś — „Tęcza". 1927, Nr. 4.

[52]) S. Wyspiański, Stanisławów, 1912 str. 170.

NA WIDOWNI

Na wyżynach myśli politycznej, w Senacie. — Skąd się bierze tik komunistyczny?—Mimikri ustrojowe. — Forma i treść.—Stanowisko narodowe w sprawie wychowania.— Radjoaktywność wychowania narodowego i etatyzm.

W POPRZEDNIM zeszycie kolega mój Rembieliński zajął się w tem miejscu faktem, który w takie zdumienie wprawił nawet „sanatorów“, że młodzież sanacyjna, ilekroć weźmie się do pióra, wypowiada poglądy komunistyczne. „Skąd się wziął ten tik u mojego syna?”— pytał stary, wyrzucając głową w ataku nerwowym.

Potrochu rzecz się wyjaśnia. Bardzo była pożyteczna w tej mierze dyskusja ze starymi sanatorami w parlamencie z powodu ustaw szkolnych.

Oto dyskusja w Senacie, gdzie przemawiają ludzie z namysłem, mając już za sobą debaty w Sejmie i w prasie. Do Senatu w dn. 11 marca weszły dwie ustawy: 1) o reformie ustroju szkolnictwa ogólnego i 2) o szkołach prywatnych. Obie oddają losy całego szkolnictwa w ręce ministra: cała polityka szkolna, administracja, technika, ideologja wychowawcza, treść programów, system tworzenia i zamykania szkół (państwowych i prywatnych), dobór sił personalnych — wszystko w ramach tych ustaw ma od lipca 1932 r. zależeć od uznania ministra.

Pierwszy zabrał głos senator Wojciech Rostworowski, znany społeczeństwu polskiemu wódz aktywistów z czasów okupacji niemieckiej, postać historyczna, obecnie wyrocznia polityczna i osłona BB na terenie Senatu. W mowie swojej, ogłoszonej w „Dniu Polskim“ (nr. 71), tak uzasadniał Senatowi myśl przewodnią zamierzeń reformatorskich p. Jędrzejewicza:

„Nikt chyba z Panów w tej Wysokiej Izbie nie zaprzeczy, ze świat stoi u wrót głębokiego, moralnego przełomu. Łamią się dawne, latami ustabilizowane formy ustrojowe...

W tym „wielkim rozumów zamęcie“, który współczesność naszą cechuje, a który ogarnął świat, nasza młoda Rzeczpospolita stoi w bezpośredniem sąsiedztwie z państwem, w którem dokonany został największy rozmiarami i bodajże najkrwawszy i najbezwzględniejszy przewrót, jaki kiedykolwiek widziała historja. Byłoby błędem tego faktu nie doceniać. Byłoby błędem nierozumieć, że tej doniosłości eksperyment musi mieć swoje daleko idące reperkusje...

Zarówno komunizm, jak hitleryzm stoją na stanowisku wszechwładzy Państwa. Czy Polska, jeśli się ma ostać, jeśli ma ocalić te walory, które ją z kulturą zachodnią łączą, może patrzeć biernie i bezradnie na to, co u jej wschodnich i zachodnich granic wyrasta? Czy Państwo polskie może w imię jakiegoś upartego liberalizmu(?), jakiegoś wygodnego *laisser faire* wyrzec się we wszystkich dostępnych mu dziedzinach swego wpływu? Czy nie jest obowiązkiem rządu Rzeczypospolitej, nie wpadając w skrajność statolatrji, wzmacniać jednak armaturę państwową na wszystkich odcinkach od ustrojowego począwszy, a na odcinku wychowania narodowego skończywszy?“

Hr. Rostworowski — jak się dziś mówi w gwarze stanu — wydobył sprawę „odcinka“ szkolnego na „płaszczyznę” polityczną i „naświetlił“ trochę inaczej, niż p. Jędrzejewicz, który motywował projekty względami wychowawczemi. Wprawdzie hitleryzmu nie było w r. 1926, kiedy się w Polsce zaczął przewrót, dzisiaj tylko pogłębiany, wprawdzie hr. Rostworowski nie dał dowodu, żeby się choć w najmniejszej mierze orjentował w sprawach polityki polskiej i w duszy polskiej, jednak wyznanie jego było cennym pokazem, w jaki sposób BB przepatruje swoich starszych szyldowych panów.

Przy sposobności ustaw, mających na względzie tylko jedno: opanowanie materjału personalnego w szkolnictwie dla celów politycznych, dowiadujemy się, że temu „łamaniu ustroju” przyświeca jakaś wielka idea. P. Rostworowskiego przekonano, że potrzebne jest ujednostajnienie ze wschodem stylu ustrojowego, swego rodzaju *mimikri*. A treść jaka? Treść wlewają młodsi. I tu rozwiązana zagadka, skąd się wziął u nich ów tik, o którym wyżej.

Hr. Rostworowski „solidaryzując się w całej pełni“ z zasadami reformy, ma zaufanie do ludzi przewrotu, że granica między formą ustroju, w tej drodze osiągniętego, a treścią życia będzie zachowana, że styl można uniezależnić od treści i odwrotnie. Klub narodowy ma na twórczość cywilizacyjną odmienny pogląd, zaufania tego nie podziela. I dlatego przedstawiciel tego klubu, senator Sołtyk, po zanalizowaniu projektu ministerjalnego, wypowiedział, jakie jest w tej sprawie stanowisko obozu narodowego.

Cokolwiekby się myślało—mówił sen. Sołtyk— o poziomie kultury polskiej, to jednak poniżej przeciętnego poziomu leży koncepcja polityczna przeciwstawiania państwa narodowi. Jest to wysiłek niefortunny przeciwko prądowi dziejów, które potrochu doprowadziły naturę Polaka do pojmowania dobrowolności służenia Państwu.

Że można u nas takie antytezy sposobem wschodnim wytwarzać, to dowód, że mamy maruderów, którzy w pochodzie dziejowym pozostają w tyle o jakieś dwa stulecia. I właśnie dlatego bardzo nam zależy na dobrym systemie wychowania, aby ono te luki w młodem społeczeństwie czemprędzej wyrównało.

Hasła wychowania państwowego w tem znaczeniu, jakie im nadaje obecny kurs urzędowy wywołują przykry konflikt, o którym ciągle słyszymy, że wynika z nieporozumień. Ale przecież trzeba nareszcie zrozumieć, na czem to nieporozumienie polega. Hasła te są w Polsce przestarzałe i wsteczne. Na czem polegała postępowość systemu wychowania Komisji Edukacyjnej? Na zrozumieniu, że między techniką szkolną a podłożem psychicznem wychowania narodowego musi istnieć bezpośredni związek. Dyskusja nasza w parlamencie takie robi wrażenie, jakbyśmy nie widzieli różnicy, jaka zachodzi między wartością wychowania przez matkę i jakąś bonę. W Polsce ta różnica już była przez wychowawców przemyślana. Rozumiano, że przy tej samej technice zewnętrznej nauczania, zabiegi matki, przepojone pierwiastkami uczuciowemi, mają wartość większą. Szkoła, ściśle zespolona z otoczeniem społecznem, lepiej wychowa, niż szkoła, wprawiana w ruch przepisami i szablonami. Technika wychowawcza może być nawet bardziej pierwotna, nie tak wyszukana jak ta, którą dzisiaj sztandadyzują najnowsze pomysły, ale wyda ona lepsze rezultaty, niż rutyna urzędowa, ponieważ tamtą ożywia bezpośredni prąd życia.

Nauka o narodzie postąpiła w socjologji i nie da się wziąć za nawias. Myśl dzisiejsza o zjawiskach życia społecznego stoi na tym gruncie, że jedyną wśród nich rzeczywistością konkretną jest naród, a wszystko inne jest pochodne. Państwo jest instrumentem narodu, przez niego wytworzonym. Naród, jak wiemy z doświadczenia, może istnieć bez państwa, ale państwo bez narodu nie może. Czemże jest armja, będąca narządem siły państwowej, jak nie emanacją krwi i ducha narodu? Cóż byłaby warta, gdyby jej nie ożywiał duch narodu, posyłającego swoich synów na służbę ofiarną?

Państwo, oceniając doniosłość wychowania, przychodzi narodowi z pomocą biorąc na siebie administrację szkolną, mechanikę, ale duszę wychowaniu daje naród, ten sam naród, który daje duszę państwu. Wychowanie jest i musi być narodowe i zawsze tak się nazywało. Nietylko dlatego, że pochodzi z rodzicielskiej troski narodu, ale i dlatego, że skierowane jest do wychowywania narodu. Naród, nie wychowujący swojej młodzieży, sam dziczeje. Na tem polega proces rozwojowy społeczeństwa, że cały ogół stale jest wychowywany. *Discendo discimus.*

Takie jest stanowisko polskie wobec górującego nad wszystkiemi projektami do ustaw szkolnych hasła t. zw. wychowania państwowego, pełnego nieufności do szkolnictwa prywatnego. Etatystyczne mechanizowanie aparatu szkolnego obraża poczucie wychowawcy polskiego. Aparat państwowy obecnie czuje się widocznie mocny w miastach i na nich swój ustrój opiera. Tymczasem Polska, w tak znacznym stopniu ludowa i wiejska, ma w swoim zmyśle ustrojowym silne poczucie ziemi i ludu jako swej gleby. Projektowany ustrój upośledza wioskę z małą szkółką. Gdyby soki żywotne do organizmu cywilizacji polskiej miały dopływać tylko z miast, pół na pół polskich, to w niedługim czasie Polska przeobraziłaby strukturalnie swój typ. Jednem z największych zagadnień, jakie stają przed polską samowiedzą, jest kwestja naszego charakteru narodowego. Czem jesteśmy i gdzie siebie szukać mamy? Przecież budować można tylko z tego, co się ma w sobie. Moment statyczny naszej budowy duchowej jest w duszy ludu. Jeżeli chodzi o charakter polski, o jego normalność, trwałość i bogactwo, wzorów szukać musimy u ludu wiejskiego. Na dopływie tych pierwiastków, któreby odżywiły zwietrzałość pokładów górnych, bardzo Polsce zależy.

Wielki czas powiedzieć sobie przy tej okazji, że ostatecznym objektem wychowania publicznego jest nie oderwana jednostka, lecz całe społeczeństwo, że ani jednostka, ani naród nie są czemś w pustce, lecz mają swoje przyrodzone orbity. Naród w sprawie wychowania ma dwa momenty refleksyjne: 1) jest młody, a współzawodniczyć musi z cywilizacjami starszemi, dopędzać musi stracony czas, 2) położony jest geograficznie w tak niekorzystnych warunkach granic, że łatwo go zdusić, jeśli nie da odporu moralnego.

Stąd wniosek, że powoływać trzeba do pracy wszystkich, nikogo nie odsuwać od niej i powtóre cały nacisk położyć na konsolidację wewnętrzną narodu. Tutaj środkować się winny wszystkie ambicje państwa, aby Polska była jedną twierdzą duchową, nie podatną do rozkładu. Istnieć ona będzie tylko wtedy, jeżeli każdy obywatel będzie dobrowolną siłą czynną-twórczą i obronną.

To jest zasadniczy artykuł konstytucji duchowej Polaków. Dlatego taką wagę zawsze przywiązywano w Polsce do systemów wychowania, dlatego wybitni wychowawcy polscy stawali się mężami stanu, a mężowie stanu—wychowawcami. To było tajemnicą zjawiska, że myśl filozoficzna w Polsce brała zawsze kierunek wychowawczy, upatrując najwyższy stopień prawdy i piękna w ideale obywatela.

Deklarację w tym duchu należało złożyć w momencie, kiedy zapędy etatystyczne według mody wschodniej, tak zachwalanej przez sen. Rostworowskiego, dosięgły już z jawnością programową do systemu wychowania młodzieży. W odpowiedzi na nią senator, prof. un. Stanisław Zakrzewski, „spec" klubu BB w sprawach polityki szkolnej, z przesadną gorliwością rzucił się na obóz narodowy, jakoby on inaugurował metodę przeciwstawiania państwa narodowi. Popierając „z tem większą siłą przekonania" „pełne głębi" wywody hr. Rostworowskiego, prof. Zakrzewski utrzymywał, że projekt p. Jędrzejewicza niczem się nie różni w swej naturze od reformy Komisji Edukacji Narodowej.

Jakże można — mówił — przeciwstawiać państwu „rzecz, która wisi gdzieś w powietrzu, i zależy od jakichś nieokreślonych czynników, które się gdzieś unoszą w sposób jakiejś anonimowej zbiorowości?... Właśnie najwybitniejszą cechą tego, co zdobyliśmy przez państwowość, jest to, że w aparacie, przez nią stworzonym, i w państwie zdobywamy czynnik, który jest za tamte objawy w naszej dziedzinie narodowej i w jakiejkolwiek innej odpowiedzialny (i to za teraźniejszość, przeszłość i przyszłość) i ma zatem siłę nietylko ujawnienia tego, co w głębi wnętrzności narodu tkwi, ale bierze na siebie odpowiedzialność za takie a nie inne regulowanie duchowych sił narodu. Jeśli tak, to państwo nie może być kopciuszkiem, spychanym na prawo i na lewo w miarę, jak wydaje się tym nieodpowiedzialnym narodowym siłom — niegrzecznem lub podejrzanem... Tylko odpowiedzialność jednej osoby jest dla nas gwarancją, że ta edukacja pójdzie torami normalnemi, torami pożądanemi dla cywilizacji i dla Polski"—(według stenogramu).

Jednem słowem według opinji tego gorliwego „speca" państwo nie może żadnego interesu w sprawie wychowania publicznego robić z narodem, bo naród, jest fikcją, czemś „anonimowem", co „wisi w powietrzu", i zgoła „nieodpowiedzialnem". To nie jest żaden interes. „Dla nas" — powiada — to znaczy dla BB, „tylko" odpowiedzialność „jednej osoby" (p. Jędrzejewicza) jest gwarancją...

Rozmowa się urywa. Niema języka wspólnego między kopciuszkiem narodem a p. ministrem i jego „specem". P. minister Jędrzejewicz w swojem przemówieniu dorzucił:

„Wychowanie państwowe jest pojęciem szerszem od wychowania narodowego, bo szkoła państwowa służy nietylko narodowości polskiej, ale i innej".

Tu już ręce opadają. Pokazuje się bowiem, że tam nie wiedzą nawet, co oznacza socjologicznie wyraz „Naród"; wydaje się im, że chodzi o pierwiastek etnograficzny... Nie wiedzą, że Naród polski to byt historyczny, mający oblicze i duszę odrębnej cywilizacji, choć różnojęzyczny.

W debatach o szkole prywatnej prof. Zakrzewski wpadł w powyższe słowa ministra i przegorliwie mówił o „nacjonaliźmie" i „egoizmie narodowym". Mój Boże! W r. 1908 wychodził we Lwowie miesięcznik „Ateneum Polskie". Był tam artykuł naczelny „Co to jest naród", napisany przez Joachima Bartoszewicza, obecnego senatora, prezesa Stronnictwa Narodowego. Tak jasno było tam wyłożone pojęcie narodu, i zgodnie z tem, co mówił sen. Sołtyk. Sen. Bartoszewicz słuchał uważnie p. sen. Zakrzewskiego. Bo trzeba dodać, że redaktorem tego „Ateneum Polskiego" był właśnie prof. St. Zakrzewski, który teraz uczy się na nowo elementarnych pojęć o narodzie od p. Jędrzejewicza, polityki od hr. Rostworowskiego.

Czyż mógł się spodziewać, że przyjdą czasy „wychowania państwowego", tak upraszczającego wiedzę i sumienie? Poco było zdobywać tak trudną wiedzę o narodzie, gdy wszystko można sprowadzić do „jednej osoby"? Tylko do jednej!

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

OD ZAKOŃCZENIA WIELKIEJ WOJNY MINIE W ROKU PRZYSZŁYM PIĘTNASTOLECIE. Bardzo niedługo otrzyma w szkołach maturę pokolenie młodzieży, co czasów wielkiej wojny z własnych przeżyć już nie pamięta. Gdy tak z jednej strony wchodzą w życie narodów zastępy nowe, w nowej wyrosłe epoce, jednocześnie coraz mniej zostaje na widowni politycznej epigonów okresu wielkiej wojny, przywódców, co do niedawna wszędzie jeszcze odgrywali decydującą rolę. Jedni się w cień zasunęli, inni zstąpili do grobu. We Włoszech rządzą z Mussolinim ludzie „powojenni“, w Anglji utracił wpływ i w równym prawie stopniu szacunek — postarzały Lloyd George; w Niemczech zjawiskowo wyrósł na polityczną potęgę Hitler, najbardziej suggestywny wyraziciel nastrojów powojennych; w Rosji utrwalił się na dobre bolszewizm, o którym nikomu nie śniło się przed r. 1914. Czechosłowacja, Polska, rządzone są jeszcze przy wydatnym udziale przedstawicieli pokolenia „epigonów“. W pierwszej naczelną postacią i symbolem jedności narodowej jest sędziwy prezydent Masaryk, w drugiej z „piłsudczyzną” przyszły do głosu anachronistycznie antypatje i nienawiści z okresu wojny, a nawet 1905 r... W tym kraju oficjalnie je uznano za fundament wszelkiej przyszłej „państwowotwórczej“ budowy.

WE FRANCJI NATOMIAST JUŻ PRAWIE WSZYSCY najwydatniejsi działacze przełomowej wojennej ery znikli z pola. Odeszli: Clemenceau, Foch, Joffre i wielu innych; nie jest już postacią czynną w życiu politycznem Poincaré, do ostatka jedną z figur naczelnych był Briand, — teraz i ten najżywotniejszy z polityków starej generacji zamknął oczy na zawsze. Wczoraj jeszcze widziano go w Radzie Ligi Narodów, zaabsorbowanego stosowaniem „metod genewskich“ w celu „zażegnania” konfliktu chińsko-japońskiego; — dziś konflikt powyższy w dalszym ciągu rozwija się po swojemu, a śmierć najwidniejszego przez tyle lat aktora na genewskiej scenie uprzytomnia, że pokolenie polityków przedwojennych odchodzi, wyczerpawszy swój udział, — a na miejsce jego wszędzie wejść muszą siły nowe.

ARYSTYDES BRIAND BYŁ, JAKEŚMY POWIEDZIELI, JEDNĄ Z NAJBARDZIEJ CENTRALNYCH POSTACI w życiu politycznem Europy w ostatniem, powojennem, dwunastoleciu. Gdyby nie wielkie różnice między „pacyfizmami” poszczególnych narodów i zwłaszcza częste tarcia między angielskiemi i francuskiemi wyobrażeniami o sposobach zabezpieczenia pokoju, możnaby powiedzieć, że w „opinji świata“ był to czołowy, najbardziej popularny „idealista“. „Idealizm” Brianda był wytworem przejściowego, szczególnego okresu w życiu Europy i Francji, okresu już poniekąd zamkniętego, często potocznie zwanego „liberalno-masońskim“. Jako wyznawca tego, rozkładającego się dziś coprawda, ideału burżuazyjnej, komfortowej cywilizacji, reprezentował niewątpliwie pewną fazę zarówno europejskiej, jak też — i to przedewszystkiem — francuskiej kultury. Dzięki talentom i zaletom osobistym, reprezentował ją wdzięczniej i z większem praktycznem powodzeniem od innych. Jak pisze we wspomnieniu o zmarłym przyjaciel jego angielski, Filip Carr, „politycznym idealistą stał się Briand przez wrażliwość swej natury. Był entuzjastą pokoju, bo blisko sympatyzował z odrazą zwyczajnego, cichego, poczciwego, leniwego, zmysłowego człowieka do wojny i wszelkich zapasów. Również charakterystyczne było, że o wiele mniej miał zrozumienia dla instynktu walki, także właściwego człowiekowi. Pragnął wygody dla każdego, jak pragnął jej dla siebie, — wygody zapewnionej przez tolerancję, wyrozumiałość i życzliwość, a będącej też wygodą zmysłów. I idealizm jego wcale nie mierzył wyżej”. Było to zgodne z poglądami epoki, która wierzyła, że mierzyć wyżej może tylko fanatyzm, albo blaga. W takiem pojmowaniu apostolstwa pokoju przez głównego orędownika tej idei była, trudno się oprzeć temu wrażeniu, — pewna ujmująca skromność. Dla pokolenia najmłodszego w krajach Europy Środkowej, które okazało się nadspodziewanie zdolnem do mocnej wiary w ideały, często (jak np. młodzież niemiecka) — nawet w popularne fikcje, — zagadkowe może się wydawać już w najbliższej przyszłości, jak Briand mógł uchodzić za wielkiego „idealistę“, za wieszcza i apostoła. Zagadkę jego wpływu w krytycznym okresie rozwiązać mu będzie tem trudniej, że zmarły polityk nie pozostawił głębokich rozważań czy praktycznych wskazań w swoich mowach czy pismach. „Czytał niewiele“, notuje Carr. Jak mógł wydawać się tym „wielkim Europejczykom”, za którego uchodził? Faza, jaką reprezentował w cywilizacji europejskiej, wraz ze zmierzchem „liberalizmu“ dobiega już końca. A dodać trzeba, że Briand, przedstawiciel jednego z najstarszych i najbardziej przodujących cywilizacyjnie narodów, nic innego poza tą fazą z przebogatego dziedzictwa cywilizacji europejskiej nie reprezentował. Żadnej konkretnej instytucji, żadnego odmiennego, a zrozumiałego dla wszystkich narodów europejskich symbolu. Przebogata symbolika średniowiecza obca była gustom tego Europejczyka. Wogóle swej wiary w Europę nie potrafił on przetłumaczyć na język wyobraźni, nie umiał zrobić z niej czegoś w rodzaju estetycznej religji w epoce, gdy np. hitleryzm porwał wyobraźnię młodzieży niemieckiej mitami nordycznemi. Nie zapalił umysłów i nie zdobył projektem europejskiej unji celnej, najśmielszym ze swych pomysłów... Niema potrzeby wątpić, że orędownictwo jego, ubożuchno coprawda pojętemu, ideałowi wspólnoty europejskiej — było szczere. Tak stary i twórczy pionier cywilizacji europejskiej, jak Francja, zdolny jest szczerzej traktować inicjatywę w tym zakresie, niż różne młodsze i bardziej o los swój wystraszone narody... Tem tragiczniejsze w pewnym sensie jest, że w przełomowym okresie historji Europy, zdobyła się ona tylko na tak niehistoryczne z ducha poczynania w tej mierze—gdy przecież „Europa“ oznacza przedewszystkiem wspólnotę pewnej konkretnej tradycji kulturalnej, wywodzącej się głównie z Rzymu i ze średniowiecza...

Dyzgust do najcenniejszych europejskich tradycyj dzielił Briand z „liberalno-masońską“ erą, której był przedstawicielem; niemało zapewne przyczyniła się ta era do zmniejszenia wpływów Francji, jako ogniska kulturalnego w nowej Europie; — lecz z drugiej strony niewątpliwie uczyniła Brianda, z jego wiarą i jego ideałami, zrozumiałym i bliskim

nastawieniu ideowemu większości stronnictw francuskich. Briand uzewnętrzniał niedość może rozumianą u nas prawdę o jedności duchowej narodu francuskiego. Można z pewnością wziąć serjo wygłoszone nad trumną zmarłego słowa premjera Tardieu, — że polityka Brianda nigdy nie stała w kolizji z postulatami obrony kraju, że nigdy nie doradzał on, ani nie pragnął, zmniejszenia gwarancyj wojskowych. Jeżeli więc Francja popełniła pod tym względem błędy w okresie powojennym, były one błędami głównego kierunku polityki francuskiej, nie zaś wyłącznie błędami Brianda. Przy niesłychanie ostrych często różnicach djalektycznych, Francja, jak Niemcy, jak nawet Polska, przedstawia duży stopień zjednoczenia politycznego, jeśli chodzi o główne linje programów.

— I Briand umiał bardzo mocno obstawać przy pewnych tezach polityki francuskiej, nawet w położeniach trudnych. Był to przedewszystkiem Francuz. W swej biografji lorda Curzona, opartej częściowo na niewydanych dokumentach, biograf (lord Ronaldshay) opowiada szczegółowo o tarciach między ministrami spraw zagranicznych Francji i Anglji, Briandem i Curzonem, wynikających w dyskusji w sprawie podziału Górnego Śląska po plebiscycie. Briand nie ustąpił wówczas, nawet gdy Curzon zagroził zerwaniem dość ścisłego jeszcze wtedy porozumienia angielsko-francuskiego.

TRZECHSETLECIE ZAŁOŻYCIELA MARJANÓW

W NIEDZIELĘ, dnia 28 z. m. odbyła się w przepełnionej sali Rady Miejskiej w Warszawie uroczysta akademja, uświetniona obecnością kardynała-arcybiskupa i nuncjusza ku czci O. Stanisława Papczyńskiego a Jesu Maria, założyciela zakonu O.O. Marjanów, spowiednika Jana III i kapelana wojsk polskich. Akademję zagaił, po inauguracji muzycznej, wykonanej przez konwiktorów bielańskich, obecny prowincjał zakonu, poczem dr. Kazimierz Marjan Morawski wygłosił dłuższy referat, malujący osobistość założyciela, a zwłaszcza tło historyczne, na którem powstała fundacja Marjanów.

Na wstępie referatu stwierdził p. Morawski „pęd wzmożony do kultu świętych" w całym bodaj świecie, a także i u nas, bo, „jeżeli już pominiemy z przed wojny jeszcze datującą się akcję na rzecz kanonizacji królowej Jadwigi, to, po wojnie, mnożą się te spontaniczne lub solidarne zabiegi". Wymienił tu Morawski akcję, mającą na celu kanonizację kardynała Hozjusza, inną, zmierzającą do wyniesienia na ołtarze Salezjanina Augusta ks. Czartoryskiego, wymienił dalej w tej materji nazwiska Rafała Kalinowskiego, brata Alberta Chmielowskiego oraz Wandy Malczewskiej. Ten pęd do kultu świętych uważa prelegent za wyznanie własnej słabości w ciężkiej dla ludzkości epoce, za hołd przed najwyższem mocarstwem ducha, jakiem jest mocarstwo ascezy. „Świat — wywodził — wdzięcznem nasłuchuje uchem posłania świętej Teresy, co jeszcze na łożu boleści mu zapowiadała, że mieszać się pragnie i nadal, po zgonie, do spraw ziemskich, spraw ludzkich a sobie bliskich. Ile bowiem razy — zaznaczał dalej prelegent — wali się na świat cały, czy na kraj nasz w szczególności pasmo klęsk i bólów, tylokrotnie ofensywie sił ciemnych odpowiada insurekcja duchów jasnych. Prelegent wskazuje na pierwszy okres średniowieczny, dzielnicowego naszego rozbicia, co wydawało Polskę podzieloną na łup inkursji Wschodu i Zachodu. „Najcięższy moment tego kryzysu państwowego jest wszak momentem największego wykwitu u nas świętych: Kinga, Jolanta, Jadwiga Śląska znaczą posłannictwo dynastji piastowskiej, Czesław i Jacek biorą udział w świętem dziele szerokich warstw narodu. Ten zaś okres, pierwszy w życiu narodu — bólu i świętości jest zarazem ważnym okresem — w życiu tego narodu — kultu Marji. Bo wtedy to, jak ustalają badacze, w pustelni karpackiej, w klasztorze sandeckim, rozbrzmiewa po raz pierwszy z ust brata Bogufała, spowiednika królowej Kingi, ten hymn natchniony, poświęcony Bogurodzicy Dziewicy, co potem rozlegać się będzie pod Grunwaldem i Warną. Kinga i Bogufał — stwierdzał Morawski — to pierwsza fala czcicieli Marji w koronie i habicie, to pierwsze ogniwo tego różańca modlitw i zaklęć marjańskich w Polsce — zamknie go, w przededniu wieków niewiary, inna para, znowu w habicie i koronie, Sobieski i spowiednik jego, ojciec Papczyński.

W dalszym ciągu odczytu swojego rozpatrzył prelegent dalsze fazy rozwoju w kulcie marjańskim na gruncie polskim. Wiek XV i XVI przynoszą hymn marjański św. królewicza Kazimierza oraz powstanie Sodalicyj. Wiek XVII znaczy dalsze, bardzo już poważne etapy, rodzimych formacyj marjańskich:

I tak, w marcu 1618 r., w ciężkim dla Polski momencie rozpoczynającej się w Europie wojny trzydziestoletniej, spisków protestanckich i zamachu na króla, tworzy Zygmunt III „Zakon rycerzy chrześcijańskich" *(militia christiana)*, pod wezwaniem N. Marji Panny i św. Jerzego, który ma na celu walkę zarówno z niewierną Turcją, jak i protestancką Europą, a do którego zapisuje się cały szereg optymatów, jak Opaliński, Korecki, Lubomirski, Albrecht Radziwiłł i t. d.

W lipcu 1637 r., gdy chybiła inicjatywa ojcowska, w momencie trudnej, dyplomatycznej alternatywy, która decydować ma o orjentacji całego panowania, nosi się Władysław IV z myślą założenia „Kawalerji Niepokalanego Poczęcia Marji Panny". Duszą tego projektu jest wielki kanclerz Ossoliński, papież święci w Rzymie suknie nowego zakonu, z kancelarji królewskiej idą znowu listy zapraszające do najprzedniejszych senatorów, jak Jan Kazimierz, ciż sami Lubomirski i Radziwiłł, Koniecpolski, Sapieha i inni; 14-go września zebrać się mają kawalerowie w zakonnych kontuszach brunatnych na pokojach królewskich i udać się do katedry pod wodzą króla, który ma wyznać prymasowi, że chce zostać „rycerzem Niepokalanej Panny i sposobić sobie drugie rycerstwo ku czci Bogarodzicy i Kościoła rzymskiego". Oznaką najprzedniejszą nowego zakonu miał być łańcuch z krzyżem, w którego środku jaśnieć miał obraz Bogarodzicy, z gwiazdami dookoła głowy, depcącej smoka, a po obu stronach napis: *„Vicisti, Vince"*, na odwrotnej zaś stronie Krzyża — Orzeł Biały z podniesionemi skrzydłami.

Ale i ten zakon Władysławowy nie wszedł w życie. Tymczasem zaś zwaliły się klęski nowe. Więc trzeci z rzędu król polski z rodu Wazów, syn, brat i następca obu tamtych, Jan Kazimierz, już nie w postaci nowego zakonu — snać nie po temu

byli ludzie i czasy, ale kolektywnego, bądź co bądź ślubu narodu, nawiązuje tradycję poprzedników swoich w katedrze lwowskiej, 1-go kwietnia 1656 r.

Z królewskich tych ślubów i zamiarów — wywodził dalej prelegent — Zygmuntowych z r. 1618, Władysławowych z r. 1637, Jana-Kazimierzowych z r. 1656, posiew nie zeszedł prawie żaden. Ale w duszach było wrażenie Częstochowy, wrażenie tych wici, które Bogurodzica rozesłała była stamtąd do zagrożonego narodu. To też nie dziw, że za jednego z panowań następnych, za panowania tego króla, który zamyka i wciela w sobie wszystko, co dodatniego było w naszym wieku XVII-tym, za Sobieskiego, relizuje się nareszcie, z ojcem Papczyńskim, idea, piastowana pod inną nieco tylko postacią przez trzech królów kolejnych z rodziny Wazów.

Krótką charakterystyką fundatora Marjanów, Sandeczanina podobnie, jak wcześniejszy czciciel Marji, cytowany już przez nas Bogufał, i jego eremu podwarszawskiego w puszczy korabiewskiej pomiędzy Wiskitkami a Mszczonowem, tak zbliżonego do dzisiejszej, a również warszawskiej siedziby zakonu Marjańskiego, do Bielan, zakończył prelegent panegiryk swój O. Papczyńskiego:

„Tu, — mówił p. Morawski o Bielanach — podobnie jak w puszczy swojej, czułby się solenizant dzisiejszy u siebie w domu. Jasność przedziwna, co rozświetla te mury, jak mało którą świątynię w Polsce, radość zaklęta jakby w architekturę, upamiętnia w tej fundacji wotywnej Władysława IV największy wszak w pokoju polanowskim terytorjalny rozrost Polski. I cieszyłby się napewno O. Papczyński, odwiedzając cele klasztorne, tak dziś pięknie staraniem swoich Marjanów przetworzone na muzeum, tradycją, która go przeżyła, związaną z innym jeszcze jubilatem, a rekolektantem bielańskim, dostojnym świadkiem największego od czasów Częstochowy marjańskiego na ziemiach polskich cudu, a dziś przedstawicielem najwyższym tego Rzymu, do którego trzy wieki temu, szedł na piechotę pokorny pielgrzym-ermita po zatwierdzenie zakonu, o którem podobnym marzyli królowie".

NAUKA I LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Wydawnictwo Polskie w Poznaniu podjęło zbiorowe wydanie pism Józefa Weyssenhoffa. Dotychczas wydano „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego" i powieść „Sprawa Dołęgi", a w przygotowaniu są dalsze tomy: „Syn marnotrawny" i „Soból i panna". Wydawnictwo nie zachowało chronologicznego następstwa ukazywania się tych książek, celem zainteresowania czytającej publiczności dziełami, które swego czasu zyskały największą popularność. Po nich przyjdzie kolej na inne książki, wprawdzie mniej od tamtych rozpowszechnione, jednak zawierające znakomite zalety talentu Weyssenhoffa, jak powieść „Gromada", powieść „Cudno i ziemia cudeńska", powieść „Unja", powieść „Hetmani" i „Dni polityczne", wreszcie plon ostatnich lat. „Jan bez ziemi", i „Ulica". Dotychczas wydane czyta się pod wrażeniem, że mimo znacznego upływu czasu nie zestarzały się. „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego" wydane zostały po raz pierwszy w roku 1898, a „Sprawa Dołęgi" w roku 1901. Obecnie w całej pełni posiadają artystyczną świeżość i rezonans z pragnieniami i zagadnieniami bieżącego życia polskiego. Szlachetność i czystość słownictwa, tężyzna stylu, sentyment krajobrazu, charakterystyczność postaci, swojskość, a nadewszystko wielki gest pisarski, jakim te dzieła zostały stworzone, zapewniają im niezłomną wartość i trwałość. W licznych fejletonach badawczych, jakie ogłoszono w ostatnich tygodniach, w związku z jubileuszem 40-stolecia pracy literackiej Józefa Weyssenhoffa, jeden z krytyków stwierdził niezniszczalność tych wartości trafną uwagą, że „Podfilipski" teraz, tak jak przed trzydziestu laty, mimo zmiennych konjunktur narodowych i społecznych, „żyje". Wydanie w godnej tego dzieła, ozdobnej i wytwornej szacie drukarskiej, po zupełnem wyczerpaniu wielokrotnych wydań, stanowi wielce pożądaną i interesującą nowość. (A. W.)

*

Jako odbitka z tomu IV Przeglądu Historyczno-Wojskowego ukazała się praca Stanisława Herbsta: „Kampanja letnia 1601". Praca owa stanowi część rozprawy o pierwszych latach wojny szwedzkiej 1600 — 1611 i zawiera opis działań wojennych hetmanów: wielkiego M. K. Radziwiłła i polnego J. K. Chodkiewicza w Inflantach w r. 1601.

Zarówno w historjografji polskiej jak szwedzkiej miał autor poprzedników. Opracowania jednak dotychczasowe nie ogarnęły całości materjału: uczonym szwedzkim brakło źródeł polskich, polskim zaś szwedzkich; obraz tedy wierny być nie mógł. Nadto studja dawniejsze powierzchownie jedynie i ogólnikowo przedstawiały zagadnienia ściśle wojskowe.

Monografja St. Herbsta idzie po linji wyrównania zaniedbań prac poprzednich. Wspiera się bowiem o gruntowną znajomość materjału obustronnego, naświetlając wydarzenia inflanckie na podstawie relacyj drukowanych, a także (i to w mierze przeważającej) źródeł rękopiśmiennych. Podany w rozprawie aparat krytyczny świadczy chlubnie o ścisłości metod badawczych autora i jego ostrożnem historycznem wnioskowaniu. Zaleca się wreszcie praca dokładnem, a pełnem znawstwa przedstawieniem spraw strategicznych, wojskowych.

Oto końcowe wyniki badań Herbsta: „Dla przebiegu kampanji letniej 1601 decydujące znaczenie miało jej podłoże osobiste". Hetman Radziwiłł, którego „Jezdę na Moskwę" uświetnił rymami sam Jan Kochanowski, pragnął odznaczeń dla dobrej swej sławy rycerskiej i — także — zdobyczy materjalnych. Ambicja wodza zadecydowała o rozwinięciu się „podrzędnych działań osłonowych w poważne wystąpienie zaczepne", podniecając „energję czynu i wytrwania. Z drugiej strony nad kampanją ciążyła królewska niechęć do Radziwiłła i związany z nią skandaliczny zatarg między hetmanami. Zdaje się jednak, że choć względy te utrudniły pracę wodza, ale przebiegu wypadków... zasadniczo nie wypaczyły. Pomimo pozorów, wynik kampanji pod względem operacyjnym był pomyślny".

Oto konkluzje ostateczne, poprzedzone sumienną i gruntowną analizą działań inflanckich. Fachową wartość pracy podnoszą reprodukowane plany wojskowe i mapy. (T. M.)

*

Ukazał się pierwszy zeszyt kwartalnika „Młodzież Katolicka". Jest to organ Związku katol. organizacyj akademickich w Warszawie i Akadem. Ligi Katolickiej we Lwowie. Redaktorem naczelnym jest ak. Andrzej Ruszkowski, do redakcji należy p zatem 9 osób, w tem 4 koleżanki. Kierownictwo ideowe powierzono Stanisławie Tesche. Adres wydawnictwa w Warszawie: Wspólna 35 m. 10 (tel. 9-09-96), we Lwowie: Na Bajkach 16. Prenumerata roczna 4 złote.

Pierwszy zeszyt chlubnie świadczy o powadze ruchu religijnego wśród młodzieży, o jej sprawności organizacyjnej i wysokim poziomie wyrobienia umysłowego. Tkwią w tem środowisku zasady optymizmu, udzielające się społeczeństwu, tracącemu nieraz z oczu drogę. Rektor kościoła akademickiego, ks. Edward Szwejnic zamieścił tutaj artykuł, którego zakończenie ten ruch charakteryzuje:

„Tęsknota duszy współczesnej — po załamaniu się życia, opartego na błędnych podstawach — do Prawdy Chrystusowej, z drugiej strony budzenie się ducha apostolstwa, wiary silnej, zespolonej z wysokim poziomem prywatnego życia licznych zastępów młodzieży akademickiej, nadanie temu życiu silnych, zwartych form organizacyjnych — oraz oparcie tego ruchu na niewzruszonej Opoce Piotrowej rokuje na przyszłość jaknajlepsze nadzieje i zmusza widzieć w mrokach nocy zapowiedź jutrzenki, lepszego — bo chrześcijańskiego Jutra!"

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Parę tygodni temu zmarł jeden z mniej znanych, lecz cieszący się we Francji zasłużonem uznaniem oraz sympatją — pisarz ze starszego pokolenia, Charles le Goffic, poeta, powieściopisarz, krytyk literacki etc...

Urodzony w Bretanji, całą duszą był zespolony ze swoją prowincją, której czar wyśpiewał w szeregu prostych lecz pełnych uroku utworów poetyckich (*„Bois Dormant"*, *„Amour Breton"* i w. innych), a życie proste, wiarę przodków, obyczaje i t. p. opisywał w powieściach i badał w licznych pracach historycznych (Szuanerji bretońskiej poświęcił Le Goffic bardzo ciekawe dzieło). Wśród wielkich pisarzy, jakich Bretanja wydała nie mało (Chateaubriand, Lamennais, Renan

i t. p.), zajmuje Le Goffic miejsce poczesne, a chociaż nie dorównywa im genjuszem, łączy w talencie swoim pierwiastki oryginalne i żywotne, które poezję starego kraju i starej rasy wyrażały może zupełniej. W poezji jego łączyło się organicznie marzenie ze ścisłą obserwacją, nawet z folklorem. Słusznie zaliczają go do klasyków Bretanji, do tych jej pisarzy, którzy nadto potrafili pierwiastkami regjonalnemi zasilić i ożywić literaturę narodową. Jedno z ostatnich dzieł Le Goffic'a poświęcone jest bohaterskiej epopei piechoty morskiej admirała Ronarck'a podczas wielkiej wojny („Dixmude").

W czerwcu 1931 r. Le Goffic został przyjęty do Akademji Francuskiej. (W. J.)

*

W Italji ukazał się świeżo doskonały podręcznik dla bibljofilów i bibljotek: „*Restauro dei libri antichi*" (Naprawianie starych książek), napisany przez Mario Morgana. W książce zawiera się szkic historyczny sposobów ochraniania i zabezpieczania druków i oprawy przed uszkodzeniem, jak również naprawy uszkodzeń, oraz traktat techniczny o najnowszych sposobach utrzymywania i naprawiania tomów bibljotecznych. (F. B.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

ZGROMADZONE w Instytucie Prop. Sztuki prace Edwarda Trojanowskiego są zaledwie częścią dorobku niedawno zmarłego artysty. Przeważają obrazy, jest trochę projektów dekoracyj ściennych, natomiast niema nic z rzeczy wykonanych w materjale. To też nie można na tej podstawie o dziele całego życia plastyka wydawać sądu, skorzystać należy tylko z okazji i przypomnieć żyjącym człowieka i artystę. Wśród dzisiejszego pokolenia znajdzie się sporo malarzy, kochających swą pracę i rozmiłowanych w swoim zawodzie. Ale Trojanowski oprócz pracy kochał i jej owoc: sztukę i cel, któremu służy. A może tylko służyła? Oto słowa o nim I. Warchałowskiego („Kultura", str. 9): „Trojanowski był z pokolenia tych, co uprawianie sztuki uważali za posłannictwo narodowe, wierzyli w odrębne miejsce dla sztuki polskiej w świecie, wierzyli w to, że poczucie rasy u polskich artystów, ich wola i praca odrębność tę wywalczą i utrwalą. Był żołnierzem przez lat 30 walki o niepodległość polskiego ducha i polskiej formy w sztuce". Piękne te słowa, niestety, dziś częściej można stosować do umarłych, niż do żywych.

Niejednemu plastykowi, zwłaszcza z działu sztuki dekoracyjnej wyda się nieraz wobec prac Trojanowskiego, że on to samo mógłby dziś zrobić lepiej i łatwiej. I myśląc tak, zapomina, że wyrósł sam na puściźnie pozostałej po zmarłym, zapomina o zasłudze inicjatywy, tak ważnej w sztuce, zapomina, że sam przyszedł na gotowy już teren.

Zasługi Trojanowskiego, dla zapoczątkowania i rozwoju naszej sztuki dekoracyjnej, z perspektywy czasu oceni dopiero w pełni przyszły historyk sztuki. Tutaj nadmienimy tylko, że nie było niemal dziedziny, w którejby zmarły nie próbował swych sił, miłością pracy wykonywanej starając się zachęcić do niej innych. W sztuce swojej dyskretny, taki sam był w życiu; cichy i skromny, chociaż miłość sztuki i ojczyzny kazała mu być bojownikiem. „Szeptem przeszedł przez sztukę i życie". Tak, szeptem. Gardłowali za niego inni, najwięcej może ci, którzy sami w sztuce nic nie robią, tylko przy niej „kibicują".

WIKTOR PODOSKI

FILM

„ŚWIATOWID". „Niech żyje wolność". reż. René Clair. Trzema filmami: „Pod dachami Paryża", „Miljon" i „Niech żyje wolność", wysunął się Clair na czoło reżyserji europejskiej, a może i światowej. Jest on „dziecięciem wieku", czasu filmu dźwiękowego, dla którego rozwoju i postawienia związanych z nim zagadnień na właściwej platformie, dokonał bardzo wiele. Jak każda nowa sztuka, stosował film dźwiękowy, w zaraniu swego istnienia, metody skrajnie naturalistyczne, często ograniczając się do zwyczajnego kopjowania natury i pozbawiając się właściwego sztuce prawa wyboru. Drugiem charakterystycznem dlań zjawiskiem było zapożyczanie się u sztuk innych, posiadających już własne sposoby wypowiadania się i własne tradycje (np. teatru). Zasługą René Clair'a jest właśnie uwolnienie strony dźwiękowej filmu z więzów naturalizmu. Zasadniczą podstawą koncepcji Clair'a jest rozdział i uniezależnienie dźwięku od ruchu. Dalszym krokiem tej niezależności było powołanie dźwięku do roli współczynnika w budowie całości wrażenia. W ten sposób strona dźwiękowa przestała być tylko dodatkiem do filmu, dodatkiem mniej, lub więcej szczęśliwym. Zilustrujemy to dwoma przykładami. Ktoś wchodzi do pokoju i słychać trzask zamykanych drzwi, ktoś w szynku stawia kufel z piwem na stole i słychać stuk kufla. To są naiwne sposoby pierwszych filmów dźwiękowych, charakterystyczne zwłaszcza dla produkcji amerykańskiej, niezwykle tępej w dziedzinie udźwiękowienia. A oto obrazek z filmu René Clair'a: bójka w nocy na peryferjach miasta, ale odgłosów walki, ani głosów ludzkich nie słychać. Słychać natomiast gdzieś ujadanie psa, gwizdek alarmu, sapanie i ruch lokomotywy, przejeżdzającej na pobliskim torze. W taki sposób oddana jest pełnia zdarzenia, akustycznie i wizualnie. Clair również wprowadził ciszę na ekran, operuje wymową milczenia, komponuje, zestawia pauzę i dźwięk. Na prostokącie ekranu daje obraz, ale źródło głosu ukrywa poza jego obrębem. Inny chwyt: pauza wzroku, na ekranie nie widzimy nic — ciemność, ale słychać dźwięk. Dźwięk przestaje być cieniem ruchu, ich równoległość zostaje unicestwiona, byt samoistny pozwala im się mijać, spotkać i rozejść. Milczenie ekranu odpowiada scenom dramatycznym, śpiew, zwłaszcza kobiety (z poza ekranu) — lirycznym. Djalogi (racjonalnie pojęte) ograniczone są do *minimum* i traktowane również jako walor dźwiękowy, przeto treścią staje się często intonacja głosu, a nie tekst. Intonacja ta może dobrze wyrażać różne stany uczuciowe.

Powracając do filmu „Niech żyje wolność", odnajdujemy w nim kopalnię pomysłów, wypływających z zasady omówionej powyżej. Reżyser posługuje się tu daleko częściej ilustracją muzyczną, niż arsenałem szmerów. Ilustracja ta została opracowana z inteligencją i dbałością nie mniejszą, niż strona wzrokowa. Jakkolwiek film posiada zupełnie wyraźną fabułę i z niej wypływa zupełnie konkretny sens moralny, a właściwiej może niemoralny dla pewnych dziedzin ustroju społecznego, skłonny jestem to wszystko uważać raczej za pretekst, który posłużył Clair'owi do wypowiedzenia się jako artyście [1]). I ze względu na ten krok w kierunku jeszcze większego uwolnienia się od fabuły, na korzyść operowania wyłącznie walorami artystycznemi, właściwemi kinu, muszę uznać film „Niech żyje wolność" za bardziej wartościowy od poprzednich. To robota artysty i jej oglądanie sprawia rzetelną satysfakcję, przedewszystkiem artystom. Bohaterem filmu jest ruch nie myślę o ruchu w sensie szybkiego tempa). Treść (mechanizacja pracy) ułatwiła autorowi stylizację ruchu. Element-człowiek został ujęty w karby rytmu, podobnego rytmowi elementu— mototywu, jako składnika kompozycji dekoracyjnej, np. fryzu. Na tle tej rytmiczności zbiorowej tłumu, jak na tle chóru, pląsa nieopanowanie ruchów impulsywnych jednostki indywidualnej (jeden z dwuch bohaterów filmu), jak głos solisty. Rytmizacji zbiorowej przeciwstawia Clair chaos rozpętanego żywiołu — tłumu w jednej ze scen końcowych: taniec oszalały i pogoń czarnych fraków na białym dziedzińcu za banknotami, niesionemi przez wiatr.

Całość skomponowana jasno i przejrzyście, z logiką budowy iście francuską. Aktor użyty najwłaściwiej. Dowcip— jak we wszystkich filmach Clair'a.

KANDYD

---

[1]) Można uważać film również za satyrę przeciwko mechanizacji pracy ludzkiej, porównanej do pracy więźnia. Autor wyszydza racjonalizację i zmechanizowanie produkcji, ale jego sposoby rozwiązania kwestji trzeba uznać za naiwne, albo może... kpiarskie.

OFENSYWA

SKONFISKOWANE

NA MARGINESIE

— Doprawdy, panie dziejski, — wzdychają publicyści „sanacyjni" — nie możemy już sobie dać rady z temi nieposłusznemi uniwersytetami... Co za niesforność, panie tego, co za krnąbrność i u tych profesorów i u tej młodzieży: „Senaty nie mogące sobie poradzić z bojówkami studenckiemi, natomiast wzorem tych ostatnich mieszające się do spraw do nich nie należących, usiłujące ponadto odgrywać rolę jakiejś wyższej instancji wobec władz państwowych — są to objawy, które dość chyba wymownie przemawiają za konieczną zmianą stosunków". („Gaz. Polska" 16.III. b. r.) Niema co mówić, ciężkie życie z temi Senatami, postępującemi „wzorem bojówek"... A „nadomiar złego należałoby tu przełamać jeszcze — mocno tkwiący w umysłowości inteligentnego ogółu, zaśniedziały tradycjonalizm w poglądach na uniwersalność i przewodniczą rolę szkół akademickich". (*ibid*). Naprawdę, osiwieć można, rządząc takim narodem, gdzie młodzież akademicka szacunkiem i zaufaniem otacza swoich profesorów, profesorowie życzliwie, po ojcowsku odnoszą się do młodzieży, a społeczeństwo... uważa bezwstydnie, że to wszystko jest w porządku i że stan tak okropny nie wymaga radykalnej reformy!

•

Żeby zsanować młodzież na uniwersytetach, wszystkie szkoły poniżej, aż do przedszkola, poddane będą — według nowej ustawy szkolnej — ścisłemu dozorowi władz państwowych, dokonywających starannej selekcji. Najdalej idą ci z Boyem na czele, którzy zakładają poradnie świadomego macierzyństwa. Będą one upaństwowione, matki mają być poddawane badaniu. Nie będą wcale rodziły, któreby mogły przekazać potomstwu instynkty narodowe. W każdym razie zmniejszy się ilość młodzieży, z którą tyle kłopotu.

TREŚĆ:

Załamania w Gdańsku *St. Strońskiego.* — Maszyna i człowiek *T. Kordyasza.* — Przed stu laty *Z. Morawskiego.* — Goethego myśli niektóre (przekł. *K. L. K*). — Symbolika „Wesela" (zamknięcie) *St. Cywińskiego.* — Na widowni *Z. Wasilewskiego.* — Głosy. — Trzechsetlecie założyciela Marjanów. — Nauka i literatura. — Ze świata sztuki *W. Podoskiego.* — Film *Kandyda.* — Ofensywa — Na marginesie.

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 625-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 612-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk Koop. Prac. Drukarskich Zielna 47. Tel. 619-57. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.